# odgłosu

TYGODNIK ROK VII

Nr 27 (331)
5. VII. 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ


**W numerze: Siódmy dzień Kaina ● Made in Poland ● Rybki ● Ogórki w teatrach łódzkich ● Generał Della Rovere ● Wezwanie ● Recenzje ● Polonica ● Felietony**

*Branko Sotro — Przenoszenie rannych.*

# LATA WOJNY

Józef Broz-Tito w roku 1917 jako jeniec wojenny znajduje się w Rosji i z chwilą wybuchu Wielkiej Rewolucji Październikowej walczy kilka miesięcy w szeregach Międzynarodowej Gwardii Czerwonej. Następnie wraca do Jugosławii i wstępuje do Komunistycznej Partii Jugosławii. W roku 1937 zostaje sekretarzem generalnym KPJ.

W kwietniu 41 roku kapituluje armia jugosłowiańska i kraj zalewają wojska okupantów niemieckich i włoskich, ale ani na moment nie ustaje walka narodów Jugosławii przeciwko faszystowskim najeźdźcom. W maju 1941 r. na naradzie Komitetu Centralnego KPJ w Zagrzebiu, J. Tito przedstawił perspektywy zbrojnego powstania i zasięgu walki narodowowyzwoleńczej. 4 lipca 1941 r. Biuro Polityczne KPJ wezwało narody Jugosławii do ogólnonarodowego powstania zbrojnego. Zaledwie w kilka dni potem ogólnonarodowe powstanie zaczęło się rozszerzać na cały kraj.

We wrześniu tegoż roku, mając na uwadze dalszy rozwój walki zbrojnej, Komitet Centralny partii i J. Tito opuścili Belgrad i przenieśli się na wyzwolone terytorium Serbii. Wówczas to, w małej wiosce górniczej Stolice, w dniu 26 września 1941 r., odbyła się pod przewodnictwem J. Tito pierwsza wojskowo-polityczna narada członków KC, sztabu głównego i przedstawicieli sztabów partyzanckich z całej Jugosławii.

W grudniu 1941 roku, dowódca naczelny partyzanckich sił zbrojnych, J. Tito, realizując koncepcję stworzenia silnej armii narodowowyzwoleńczej, zdolnej do prowadzenia długiej i ciężkiej wojny, utworzył w miejscowości Rudo, I Brygadę Proletariacką.

Gdy kończył się już drugi rok walki z okupantem, w listopadzie 1941 roku, Tito i sztab główny podjęli uchwałę o stworzeniu regularnej Narodowowyzwoleńczej Armii Jugosławii, z dywizjami i korpusami, zdolnej do przeprowadzania szeroko zakrojonych akcji bojowych. Ta właśnie armia, w maju i czerwcu 1943 roku stoczyła nad rzeką Sutieską najbardziej dramatyczną bitwę z całego okresu walk narodowowyzwoleńczych. Była to walka na śmierć i życie. Toczyły ją 4 dywizje i 2 brygady partyzanckie przeciwko 12 dywizjom niemieckim i włoskim, jednemu pułkowi bułgarskiemu i oddziałom ustaszów rodzimych zdrajców. Poległo w niej 8 tysięcy żołnierzy partyzanckich. W decydujących momentach tej wielkiej bitwy Tito i sztab główny byli w kanionie Suteski, wraz z jednostkami armii. Tutaj też został ranny Tito.

Po tej najsłynniejszej bitwie Armia Narodowowyzwoleńcza Jugosławii, pozostająca pod dowództwem Józefa Tito, okrzepła jeszcze bardziej i zwiększyła swą siłę uderzeniową. Jesienią 1943 roku liczyła już ok. 300 tys. żołnierzy.

Rok 1945. Umilkł szczęk broni. Wojna skończona. Najstraszniejsza wojna na terytorium Jugosławii. Kosztowała ona narody Jugosławii 1.700 tys. ofiar ludzkich. Co dziesiąty obywatel tego kraju oddał życie za ojczyznę. Straty materialne były również ogromne.

Na wielkim wiecu w Zagrzebiu w dniu 21 maja 1945 r. Józef Broz-Tito powiedział:

„...Nowa Jugosławia została utworzona nie przy zielonym stole, lecz w czteroletnich mękach i cierpieniach wszystkich naszych narodów.

W tej nowej Jugosławii wszystkie narody mieć będą te prawa na które zasłużyły, dając za nie swą krew i oddając w ofierze swych najlepszych synów..."

HENRYK KATZ

# ORGAN DEMOKRACJI

Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego zawiera w swych zbiorach skarb nie lada. Jest nim komplet „Nowej Gazety Reńskiej", jednego z najważniejszych i najciekawszych organów w historii prasy europejskiej. Gazeta ta była wznowieniem zamkniętego przez władze pruskie dziennika, który pn. „Gazeta Reńska" ukazywał się w Kolonii, w latach 1842–43. Redaktorem jednego i drugiego pisma był Karol Marks.

Marks powrócił do Niemiec w kwietniu 1848 r., w kilka tygodni po wybuchu rewolucji Wiosny Ludów. Zamieszkawszy w Kolonii, począł starania o zezwolenie na pobyt w tym mieście i o uznanie go obywatelem Prus. Zezwolenie na pobyt w Kolonii uzyskał, lecz władze państwowe nie spieszyły się bynajmniej z uznaniem jego obywatelstwa zachowując w swym ręku środek represji, jakim stać się mogło wygnanie go z granic państwa. Przybywszy do stolicy Nadrenii Marks zajął się planem wydawania dziennika demokratycznego. Kolonię traktował jako korzystny teren działalności nie tylko dlatego, że była stolicą najbardziej postępowej części Niemiec, lecz — przede wszystkim — ponieważ obowiązywał tu kodeks Napoleona, który nie uznaje procesów prasowych przewiduje natomiast cenzurę i ewentualnie postępowanie przed sądem przysięgłych. W Berlinie natomiast, gdzie obowiązywało pruskie prawo krajowe, procesy polityczne sądzili sędziowie zawodowi. Tak więc w Nadrenii mogli korzystać wydawcy i redaktorzy nowego organu z całkowitej praktycznie wolności prasy.

Dziennik przybrał nazwę „Nowa Gazeta Reńska" z podtytułem „Organ demokracji". Pierwszy numer ukazał się 31 maja po południu — z datą 1 czerwca 1848 roku. Jako naczelny redaktor widniał Karol Marks. Kilka tygodni przedtem minął trzydziesty rok jego życia.

Marks wraz z Fryderykiem Engelsem, który również przybył do Kolonii, pisał większość artykułów wstępnych. Ustosunkowywano się w nich do problemów dnia i konsekwentnie propagowano linię polityczną skrajnie demokratycznego, proletariackiego skrzydła niemieckiej rewolucji. „Nowa Gazeta Reńska" była najbardziej bojowym, a też najlepiej i najżywiej redagowanym organem niemieckich sił rewolucyjnych. Owa żywość i komunikatywność kojarzyły się z dużymi ambicjami intelektualnymi i literackimi. Pasja polityczna i moralna, powaga i głębia, a jednocześnie humor i bezpardonowa satyra — tworzyły amalgam, z którego utworzony był marksowski organ.

Gazeta miała stosunkowo nieduży kapitał akcyjny. Lecz po ukazaniu się pierwszego numeru, w którym znajdował się ostro krytykujący parlament frankfurcki artykuł pióra Engelsa, połowa akcjonariuszy wycofała się z udziału. Kolejne artykuły ujawniły tendencję polityczną i program, które bardziej jeszcze niepokoiły liberałów i połowicznych demokratów. „Nowa Gazeta Reńska" nie występowała bynajmniej z programem komunizmu, nie wysuwała też na czoło odrębnych spraw klasy robotniczej. Niemniej rewolucję marcową traktowała jako niezakończoną, jako — w istocie — „rewolucję połowiczną". Gazeta wysuwała program zjednoczonej republiki demokratycznej, a jej szansę widziała w dalszym rozwoju rewolucji, która zmiotłaby przeżytki feudalizmu i doprowadziła do likwidacji odrębnych państw i państewek niemieckich, a przede wszystkim Prus i Austrii.

Po tym, jak w czerwcu, Marks stanął otwarcie po stronie robotniczego powstania w Paryżu, prawie wszyscy pozostali akcjonariusze wycofali swe udziały. Pismo mogło się obecnie utrzymać tylko dzięki abonentom, których liczba stopniowo wzrosła do 6.000, co było nie lada w ówczesnych czasach sukcesem. Nie zapewniło to bynajmniej organowi marksowskiemu dostatecznych funduszów, toteż dzieje „Nowej Gazety Reńskiej" związane są z ustawicznymi wysiłkami, by uzyskać fundusze od przyjaciół pisma. W lipcu zwraca się Marks z wezwaniem o środki pieniężne do swych towarzyszy w Brukseli. W sierpniu i wrześniu podejmuje podróż do Berlina i Wiednia, której ważnym celem było zdobycie pieniędzy dla „Nowej Gazety Reńskiej".

Większą sumę — 2.000 talarów otrzymał Marks od zamieszkałego w Berlinie Władysława Kościelskiego, reprezentanta polskich kół demokratycznych. Darowizna ta była oznaką wdzięczności Polaków za interwencje pisma na rzecz ich sprawy. Pomiędzy 7 sierpnia i 6 września „Nowa Gazeta Reńska" umieściła cykl artykułów stanowiących komentarz do „debaty polskiej" we Frankfurcie. Debata dotyczyła losów Księstwa Poznańskiego po tym, jak władze pruskie stłumiły tam powstanie. Autorem tych artykułów był Fryderyk Engels. W debacie polskiej chodziło o uznanie lub odrzucenie linii demarkacyjnej, mocą której część Księstwa Poznańskiego miała być odłączona i uznana jako składnik Rzeszy Niemieckiej. Z ostrą krytyką spotkali się ci członkowie Zgromadzenia we Frankfurcie, którzy ulegali nacjonalistycznemu zaślepieniu, bądź też gubili się w górnolotnych i nie obowiązujących frazesach. Dla Marksa i Engelsa sprawiedliwość dla Księstwa Poznańskiego i jego polskiej ludności miała być pierwszym krokiem do odbudowania Polski, co wiązało się z ich rachubami na wojnę rewolucyjną i gruntowe przemiany we własnym kraju — w Niemczech. „Dopóki pomagamy gnębić Polskę, dopóki część Polski trzymamy przemocą przy Niemczech, dopóty nie możemy gruntownie złamać absolutyzmu patriarchalno-feudalnego u nas samych" — czytamy w numerze z 19 sierpnia. „Ustanowienie demokratycznej Polski jest podstawowym warunkiem ustanowienia demokratycznych Niemiec".

Tymczasem wzmagał się nacisk władz. Jeszcze w lipcu wszczęto dochodzenie przeciw „Nowej Gazecie Reńskiej" o obrazę prokuratora i dokonano rewizji w jej lokalu. Z początkiem sierpnia Marks został ostatecznie powiadomiony przez dyrektora policji kolońskiej, niejakiego Geigera, że władze odmawiają uznania go obywatelem pruskim, uważają go natomiast — w wyniku jego zrzeczenia się pruskiego obywatelstwa w 1845 r. — za cudzoziemca. Chwilowo nie pociągnęło to za sobą żadnych następstw, lecz groźba wydalenia wisiała obecnie nad głową głównego trybuna demokracji.

Jak dotąd władze walczące z Marksem nie ważyły się pociągać go do odpowiedzialności sądowej. Lecz nowy rok przynosi mu podwójne oskarżenie. Dnia 7 lutego staje on — wraz z Engelsem i żyrantem „Nowej Gazety Reńskiej" Korffem — przed Sądem oskarżony o obrazę władz. Następnego dnia wraz z przywódcami ruchu demokratycznego Schapperem i Schneiderem staje Marks ponownie jako oskarżony o podżeganie ludności do rebelii. Lecz obie rozprawy toczą się przed sędziami przysięgłymi: w obu wypadkach uwalniają oni oskarżonych.

Pewnym epizodem i równocześnie dywersją od zatargów z władzami cywilnymi i sądowymi są zatargi Marksa ze sferami wojskowymi. Jeszcze w grudniu wszczęto przeciw niemu postępowanie o rzekomą obrazę komendanta dywizji w Kolonii, noszącego nazwisko „Drigalski". Z końcem lutego 1849 r. „Nowa Gazeta Reńska" umieściła krytyczną notatkę o niejakim kapitanie von Ultenhoven, co skłoniło dwóch wojskowych do protestów i pogróżek przeciw redaktorom pisma. Marks z kolei ostro protestuje wobec komendanta twierdzy Kolonii noszącego — dziwnym zbiegiem okoliczności — nazwisko Engels, lecz ten w niewiele dni później — jakby w odpowiedzi — protestuje przeciw obrazie w organie Marksa pruskiego księcia Waldemara. W marcu otrzymuje Marks anonimowy list z pogróżkami, podpisany „Żołnierze 34 pułku piechoty". Fryderyk Engels informuje, że w twierdzy kolońskiej było w tym czasie osiem tysięcy załogi. W pokoju redakcyjnym „Nowej Gazety Reńskiej" było 8 karabinów i 250 ostrych nabojów, a zecerzy nosili czerwone czapki jakobińskie i to — do pewnego stopnia — zniechęcało przeciwnika przed jawnym uderzeniem.

Zanim Marks opuścił Kolonię, musiał spłacić współpracowników i dłużników swej gazety. Rozdano między nich 1.800 talarów, które znajdowały się w kasie. Marks sprzedał ponadto prasę, którą nabył za własne pieniądze, jego żona zaś sprzedała meble, a uzyskaną sumę również przeznaczono na ten cel.

Upadek „Nowej Gazety Reńskiej" zbiegał się z klęską wielkiego rewolucyjnego zrywu demokracji, klęską, która zaważyła fatalnie na losach narodu niemieckiego.

# odgłosy w świecie

# AMERYKAŃSKI PROBLEM POŁUDNIA

Zbrodnia w Dallas uczyniła aktualne w świecie zagadnienia „dwu Ameryk": istnienie tego podziału wywodzi się z wojny secesyjnej (1861-5), której stuletnia rocznica wywołała w Stanach Zjednoczonych powódź historycznych opracowań i aktualnych artykułów. Linia podziału między dawną Północą i dawnym walczącym o utrzymanie niewolnictwa Południem przebiega dziś nieco inaczej. Różnice według niektórych opinii zatarły się już zaraz po zakończeniu wojny secesyjnej w tzw. okresie rekonstrukcji w latach 70. Dowodzono, że przesunięcie na południe zwłaszcza przemysłu tekstylnego zniwelowało dawną rozbieżność między plantatorskim Południem a przemysłową Północą. Demokraci ze stanów południowych zaczęli dowodzić, że na Południu w wyniku wojny nastąpiła faktycznie rewolucja polegająca na likwidacji pałaców plantatorów na rzecz farm. „Nowe Południe" według tej teorii miało się stać teraz obrońcą najbardziej demokratycznych tradycji amerykańskich. Oskarżano republikanów Północy o zakusy despotyczne, tyrańskie. Południe miało według tej teorii bronić prawdziwych zasad samorządu. Ta doktryna uprawnień stanowych przetrwała długie lata. Można powiedzieć, że dziś jej echa, to usiłowania nie dopuszczenia władz federalnych do szczegółów śledztwa w Teksasie.

Historycy na Południu, posiadający do swej dyspozycji szereg specjalistycznych czasopism historycznych, lansują tezy, że fałszem jest głoszona na Północy jedność Stanów będąca rzekomo wynikiem industrializacji. Sam proces industrializacji postępującej nie jest według nich dostatecznym cementem jednoczącym naród amerykański. Południe nawiązuje do najlepszych tradycji Jeffersonizmu, prawdziwej demokracji. To stąd wyszła pierwsza krytyka przerostów politycznej władzy wielkich kapitałów przemysłu. Stąd też zaczęto dostrzegać ujemne skutki industrializacji. Południe według jego chwalców reprezentuje obronę praw jednostki, obronę indywidualności przed niwelacyjnym wpływem kultury wielkomiejskiej. W latach 90-tych ub. wieku ruch populistów, uważany dziś przez większość historyków amerykańskich za ruch postępowy, korzeniami swymi wyrastał z Południa. Na Północy stwierdza się, że walka z trustami była w dużym stopniu dziełem ludności miejskiej, a nie farmerów, że ruch populistów opierał się na farmerach Zachodu a nie Południa. Przede wszystkim zaś na Północy podkreśla się, że demokracja na Południu była zawsze pojmowana swoiście. Nie wyzbyto się tam nigdy poczucia wyższości w stosunku do ludności murzyńskiej. Południe nie zrealizowało nigdy w pełnym stopniu sławnej XIII poprawki do konstytucji w sprawie równości ras, segregacja rasowa mniej lub więcej jawna, czy zakamuflowana pozostała cechą charakterystyczną stanów południowych.

Południe — piszą historycy z Północy — powołuje się na swe tradycje romantyczne. Ten romantyczny rys jakoś godzi się z niesłychaną brutalnością. Indywidualizm sprowadza się do kultu siły, tolerowania gwałtu.

Na Południu mówią chętnie o obronie wolności, indywidualnych praw, które okazują się często przywilejami. Południe ma swą własną koncepcję demokracji. Demokracja w/g nich implikuje negację determinizmu. Determinizm wiara w niezłomne prawa, pod którymi ugina się jednostka, jest to doktryna właściwa systemom totalnym.

Jeszcze do niedawna stawiano znak równości między Południem a agraryzmem. Przeciw takiej koncepcji pojawiła się ostatnio w Stanach krytyka. O ile dawniej przeceniano doniosłość industrializacji Południa, potem zanegowano rozmiary tego procesu, obecnie powrót do podnoszenia roli farmerskiego ruchu Południa jest także oceniany za ujęcie zbyt jednostronne. Nie ulega przecież wątpliwości, że koneksje kapitałów obejmują całość Stanów. Pozostało jednak faktem, że przemysł ciężki skoncentrowany jest na Północy, że zamówienia państwowe tam są kierowane, stąd Południe głosuje zawsze za zmniejszeniem budżetu, za zmniejszeniem ciężaru podatkowego. Co zresztą wiąże się z tendencją rozbudowywania budżetów stanowych, decentralizacji, przeciw uprawnieniom władz federalnych.

Jest podkreślenia godnym, że w sto lat po wojnie secesyjnej na Południu są głosy nadal uzasadniające słuszność sprawy secesji. Konstruuje się mit o „solidnym Południu", które wprawdzie militarnie przegrało, ale jego program i koncepcje zachowały żywotność. Podnosi się, że one to stają w obronie suwerenności stanowej. Nawet Kukluksklan bywa rozgrzeszany przez chwalców Południa. Dziś wielu historyków w Stanach solidaryzuje się z postawą części tzw. nowych radykałów z lat 70, którzy sprzeciwiali się nadaniu ziemi Murzynom. Rzadko kiedy zwraca się uwagę na fakt, że koniec okresu rekonstrukcji, pierwsze wyborcze sukcesy partii demokratycznej, to jednocześnie początek trudnych lat dla ludności murzyńskiej. Badając rozwój historiografii amerykańskiej dostrzec można wyraźnie zaniedbanie szczegółowych badań nad dziejami Południa lat 80 i 90 ub wieku. Sympatycy Południa narzucili mit demokratycznego, „nowego Południa". Dopiero po 1919 r. zjawiły się głosy rewidujące tę fikcję. Przeciętny Amerykanin z Północy nie rozumie człowieka z Południa, nie pojmuje jego mentalności, pełnej zagadek, irracjonalnych motywów. W okresie wielkiego kryzysu lat 30 Południe wystawiło Północy akt oskarżenia za nadprodukcję, za przesadną industrializację, przerosty gospodarcze. Ta krytyka wychodziła z pozycji tradycjonalnych. Na Północy trudno jest pojąć, że na Południu nie ma zwolenników równouprawnienia Murzynów, są tylko zdecydowani negrofobi i umiarkowani, głoszący potrzebę łagodności. Niższość Murzynów jest dogmatem przez nikogo prócz samych pisarzy publicystów murzyńskich nie kwestionowaną.

Dla publicystów, którzy jako najistotniejszą cechę amerykańskiej myśli uważają pojęcie własności prywatnej, Południe z jego obroną indywidualności jest reprezentantem najwierniejszym amerykańskiego stylu życia.

Historycy związani z tradycjami Północy opowiadają się raczej za doniosłością procesów urbanizacyjnych w całokształcie życia Stanów. Dowodzą, że marsz na zachód nie był ruchem czysto farmerskim, draperskim, jednocześnie powstawały wzdłuż linii kolejowych wielkie miasta. Miasto reprezentuje kulturę standaryzowaną, wyśmiewaną, lekceważoną przez Południowców, miasto pozostawia jednostce mniej swobody, bardziej każe się liczyć z prawem drugiego, czyni człowieka bardziej zależnym od stanu instytucji komunalnych, usług, stąd wyrabia tendencje do współżycia. Według niektórych historyków ruch postępowy w Stanach przed 1914 r. różnił się tym od ruchu populistów z końca XIX w., że był więcej miejski mniej farmerski. Historycy z Południa są przekonani, że zmierzch agraryzmu jest jednoznaczny z upadkiem demokracji. Historycy z Północy krytykując ich wskazują, że obrona praw jednostki może być akcją bardzo konserwatywną. Zarzucają południowcom, że ich dyskryminacja rasowa idzie w parze z popieraniem imperialistycznych planów podboju. „Misja" Stanów na Filipinach oto doktryna wyrosła na gruncie rasistowskiej teorii o wyższości białych. Przypomina się, że to właśnie senatorzy z Północy pierwsi ostrzegali przed angażowaniem się w akcję kolonialną.

Stwierdzić trzeba, że połowiczne rozwiązanie kwestii murzyńskiej w wyniku wojny secesyjnej do dziś ciąży nad Stanami. Południe wykazuje z racji swego rasistowskiego nastawienia najsilniejsze poparcie dla wszelkich tendencji wstecznych, hamujących postęp społeczny.

**JÓZEF DUTKIEWICZ**

# Notatki na marginesie

**Podróże generała de Gaulle'a stały się prawdziwą zmorą dla polityków anglo-amerykańskich. Ledwie minęły emocje meksykańskiej eskapady generała-prezydenta już zbliża się nowa podróż dyplomatyczna prezydenta Francji do Południowej Ameryki. A jednocześnie mówi się w Paryżu i o wyjeździe de Gaulle'a na Bliski Wschód i to nie później niż jesienią bieżącego roku.**

* * *

**Amerykańskie Ministerstwo Obrony wydało okólnik AR 633—15 dotyczący egzekucji skazanych na śmierć żołnierzy. Pod reprodukowaną ilustracją czytamy: „Pętla musi być sporządzona z konopnego sznura o przekroju od 1,9 do**

**3,1 cm. Należy ją nakładać ciasno na szyję skazanego, węzeł winien się znajdować tuż za lewym uchem.**

* * *

**Krzywa wieża w Pizzie pochyliła się w ciągu ubiegłych dwunastu miesięcy o 1,2 mm. całe przechylenie wynosi obecnie 4.375 m w stosunku do 3.25 m w roku 1918.**

* * *

**Jomo Kenyatta, który ukończył właśnie 74 rok życia, jest nie tylko jednym z najbardziej dynamicznych polityków młodej Afryki, lecz również szczęśliwym mężem i ojcem. Jego czwarta żona Ngina powiła mu właśnie w Nairobi syna Mohoho.**

* * *

**Marlena Dietrich odniosła olbrzymie sukcesy w czasie swego tourne po Związku Radzieckim, gdzie śpiewała po francusku, hebrajsku i niemiecku. Boska Marlena jest zachwycona Rosjanami: „Kocham ich, bo nie znają „letnich" uczuć: są albo bardzo smutni albo bardzo szczęśliwi, albo kochają, albo nienawidzą. Z dumą mogę powiedzieć, że sama mam rosyjską duszę".**

* * *

**W dniu, w którym skazano Nelsona Mandele na dożywotnie więzienie, jego narodowo-wyzwoleńcza organizacja — Włócznia Narodu — o której rząd południowo - afrykański twierdził, że została całkowicie rozgromiona, znów znalazła się w nagłówkach gazet: partyzanci Włóczni Narodów na znak protestu przeciwko bestialskiemu wyrokowi dokonali w dniu tym szeregu zamachów bombowych.**

# PORA PRZYPOMNIEĆ LOCH NESS

**Jak zwykle w porze letniej, na łamach prasy angielskiej znów pojawiają się wzmianki z Loch Ness. Czy to naprawdę tylko kaczka dziennikarska? Sposób na kanikułę? To co ostatnio pisze się na ten temat, zdaje się świadczyć raczej iż chodzi o zjawisko warte tak poważnego potraktowania jak sławny himalajski yetti. David James w „The Observer" w obszernym artykule zatytułowanym „stwierdziliśmy, że w Loch Ness żyje jakieś niezidentyfikowane zwierzę" przedstawia wyniki badań jeziora prowadzonych już nie tylko przez naukowców-amatorów, ale i przez ekspedycje wspierane przez lotnictwo wojskowe.**

**Biuro dla badania Loch Ness (bo i taką instytucję powołano do życia) przeprowadziła w roku 1962 prace eksploracyjne, które na przestrzeni miesięcy letnich nie dały jednak żadnych rezultatów. Dopiero 19 października 1962 roku niespodzianie ośiem osób zatrudnionych przy powyższych pracach ujrzało w odległości około 200 yardów od brzegu pomału płynący przedmiot: na jeziorze panowała dość silna fala, która utrudniała obserwację, niemniej jednak udało się nakręcić duży odcinek filmu, który przesłany został do analizy odpowiedniej komórce wywiadu lotniczego. Członkowie ekspedycji — ichtiolodzy zauważyli, po zjawieniu się dziwnego tworu iż ryby w jeziorze zostały opanowane prawdziwą paniką: nawet wyjątkowo ostrożny czerwony petrąg uciekając podpłynął zupełnie blisko brzegu.**

**Wynik analizy szczegółowej filmu potwierdzał wnioski naocznych świadków: „Z całą pewnością nie chodzi tu o złudzenie wywołane ruchem fal: przedmiot fotografowany jest ciemny, obły, o szczególnym połysku, podobnym do skóry węgorza".**

**Grupa naukowców-zoologów wyciągnęła wnioski: „Uważamy, że w Loch Ness żyje jakieś nieznane zwierzę wielkich rozmiarów. Dla dobra nauki należy przeprowadzić jego szczegółową identyfikację. Na podstawie dotychczasowych danych nie można ustalić czy jest to ssak, płaz, ryba czy też olbrzymi mięczak".**

**Tego rodzaju oficjalna opinia oczywiście znów postawiła sprawę potwora z Loch Ness w kręgu powszechnego zainteresowania. Niestety, ekspedycja w roku 1963 nie przyniosła żadnych nowych rewelacji. Natomiast dokładne zbadanie okoliczności w jakich po raz pierwszy ujrzano „potwora" dało początek nowej hipotezie. Oto w latach 1933—1935, a więc wtedy, kiedy potwora widziano około 40 razy, w niedalekim sąsiedztwie jeziora przeprowadzane były roboty drogowe połączone z częstymi eksplozjami dużych ładunków dynamitu. Zoolodzy uważają, że właśnie te detonacje mogły spowodować wyjątkową aktywność „potwora" i jego częste pojawianie się na powierzchni wody.**

**Sprawa powinna wyjaśnić się wreszcie ostatecznie, bowiem w bieżącym roku przybędzie nad jezioro ekspedycja wyposażoną w naukowy sprzęt techniczny: będą tu stereoskopiczne aparaty filmowe i fotograficzne, specjalne radary przystosowane do badania środowiska podwodnego, sondy dźwiękowe i wyjątkowej siły podwodne reflektory. Zabiega się również o współudział rutynowanych nurków. David James zapewnia iż ekspedycja już ostatecznie ustali ile w legendzie o potworze z Loch Ness jest prawdy, a ile zmyślenia.**

# POLONICA

W piśmie „The Observer" z dnia 14 czerwca br. znajduje się artykuł, pióra Penelope Gilliat, pt. „A distant view of horror", poświęcony omówieniu filmów o tematyce wojennej. W artykule tym autor pisze o Andrzeju Munku i jego dwóch filmach: „Eroice" i „Pasażerce". Autor, który znał Munka osobiście, wspomina spotkania z nim i rozmowy w Warszawie na krótko przed jego tragiczną śmiercią. Obecnie z okazji wyświetlania w Londynie „Pasażerki", Penelope Gilliat pisze o filmie tym z uznaniem, przypominając przy sposobności dawniejszy film Munka o tematyce wojennej, mianowicie „Eroicę".

### RECENZJA O „KUGLARZACH"

Jürgen Buschkiel publikuje w „Die Welt" (4 czerwca br.) artykuł z okazji wystawienia w Karlsruhe „Kuglarzy" Zdzisława Skowrońskiego. W recenzji pt. „Zdumiewająca odwaga atakowania" recenzent chwali zarówno samą sztukę, jak i przedstawienie, któremu zapewniono dobra reżyserię, dobrą obsadę i scenografię. Z recenzji dowiadujemy się również o tym, że publiczność przyjmowała sztukę z aplauzem i doskonale się bawiła.

### WIERSZ SALVATORE QUASIMODO o OŚWIĘCIMIU

Wybitny poeta włoski, Salvatore Quasimodo, laureat nagrody Nobla w dziedzinie literatury za rok 1959, jest autorem wstrząsającego wiersza o Oświęcimiu. Wiersz ten, zamieszczony w tomie pt. „Łuk otwarty", zaczyna się słowami: „Tam, w Oświęcimiu, daleko od Wisły, ukochana, na krawędzi północnej równiny, w obozie śmierci..." A kończy następująco: „Na równinach, gdzie miłość i płacz, tam wznosi się słowo „nie", „nie" powiedziane śmierci, która zmarła w Oświęcimiu, aby nie powstać nigdy z popiołów zagłady".

### ŚWIATOWE TARGI KSIĄŻKI W LONDYNIE

W Londynie otwarto pierwsze „Światowe Targi Książki", na których wiele firm europejskich prezentuje swoje najlepsze wydawnictwa z różnych dziedzin nauki i literatury. W targach tych bierze również udział Polska, reprezentowana przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe i „Ars Polona". Polscy wystawcy zgromadzili wydawnictwa o charakterze encyklopedycznym i pozycje w językach obcych drukowane w kraju, które obudziły zrozumiałe zainteresowanie wśród tamtejszej publiczności. Po targach frankfurckich i warszawskich, jest to trzecia wielka impreza książkowa o szerokim zasięgu.

### GAZETY ZACHODNIONIEMIECKIE O POLSKIM FILMIE

Mamy do odnotowania kilka artykułów o polskich filmach, zamieszczonych w prasie zachodnioniemieckiej. I tak „Die Welt" z dnia 13 czerwca br. Armand Kesch pisze o „Zerowatym szczęściu" z okazji pojawienia się tego filmu na ekranach NRF. Recenzja opatrzona jest dużym zdjęciem Bogumiła Kobieli. W tygodniku „Die Zeit" (19 czerwca br.) znajdujemy duży artykuł Petera H. Schrödera pt. „Nowa konkurencja dla Oberhausen" o pierwszym międzynarodowym festiwalu filmów krótkometrażowych w Krakowie. Jak wiadomo festiwale takie odbywają się w mieście zachodnioniemieckim w Oberhausen, gdzie zresztą Polska bierze rokrocznie udział i zdobywa nagrody. O tymże festiwalu krakowskim pisze Franke Hanck w „Die Welt" (20 czerwca br.) podkreślając zarówno dobrą organizację imprezy jak i omawiając ciekawe filmy polskie i zagraniczne. W dzienniku hamburskim „Die Andere Zeitung (18 czerwca br.) Peter Daniel zamieścił obszerny artykuł pt. „Przeobrażenia w filmie polskim", w którym to artykule, wzbogaconym zdjęciami Cybulskiego i Niemczyka, omawia kilka polskich filmów, m. in. „Kanał" i „Nóż w wodzie".

### O MILENIUM W ANGLII

Wydawany w Cambridge miesięcznik „Blackfriars" zamieścił obszerny artykuł pt. „Polska kultura w okresie Milenium", którego autorem jest Anthony John Black, pracownik naukowy uniwersytetu. A. J. Black wiele miejsca poświęcił Łodzi. Pisze m. in.:

„Nowe uniwersytety i wyższe szkoły plastyczne, teatralne oraz szkoła filmowa zostały utworzone po drugiej wojnie światowej. Znamy doskonale polskie filmy, które swój wysoki poziom artystyczny zawdzięczają Łódzkiej Szkole Filmowej — już w tej chwili popularnej na całym świecie. Uczelnia ta znalazła sobie pomieszczenie w pofabrykanckim pałacyku".

„Przemiany, jakie nastąpiły w Polsce, dodatnio wpłynęły na podniesienie poziomu kulturalnego mieszkańców tego kraju, którzy są wartościowymi odbiorcami dzieł tworzonych przez swoich artystów i pisarzy".

POLONICA

# LATA WOJNY

partyzanci macedońscy na Kajmakcalanie

**Metalowiec Stjepan - Stevan Filipović, dowódca oddziału partyzanckiego przed egzekucją. Jego ostatnie słowa przed egzekucją, to wezwanie narodu do dalszej walki o wolność. (Zdjęcie odnalezione po wojnie w archiwach policji).**

Pierwszą zimę wojenną, od stycznia do maja 1942 roku sztab główny przetrwał w mieście Foča, które — po mieście Užice — było drugą siedzibą republiki partyzanckiej, wykorzystując ten czas dla organizowania tyłów i umacniania organów władzy ludowej.

**Józef Tito i Moše Pijade w czasie wojny.**

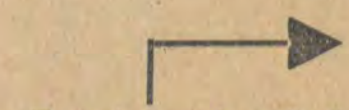

W czasie trwania walk w rejonie Sutieski i Zelengory, okupant rozesłał specjalne listy gończe za tow. Tito.

**Plakat z obiecaną nagrodą, rozlepiony we wszystkich miastach Jugosławii.**

Koniec wojny.
**Oddziały partyzanckie wkraczają do Belgradu.**
Zdjęcia i teksty z albumu: „Tito. Życie i praca".

**ŁÓDZKIE XX-LECIE**

## SZKOŁY TYSIĄCLECIA

**MYŚL:** „Tysiąc szkół na Tysiąclecie" — to hasło rzucone przez Władysława Gomułkę, dało początek wielkiej akcji społecznej budowy szkół.

**DANE:** W roku 1962 oddano w Łodzi do użytku 9 szkół Tysiąclecia, zbudowanych kosztem 104 657 000 złotych. W roku 1963 zbudowano dalszych 6 szkół. Tak więc akcja budowy szkół Tysiąclecia zamyka się aktualną liczbą 15 obiektów, za sumę 151 471 000 złotych.

**PROJEKTANCI:** mgr inż. arch. Tadeusz Herburt, mgr inż. arch. Jan Michalewicz i inni. Adaptowano również tzw. projekty typowe.

**NA ILUSTRACJI:** Szkoła Tysiąclecia przy ulicy Mokrej, projektowana przez inż. arch. Jana Michalewicza. Szkołę tę oddano do użytku w szesnastą rocznicę wyzwolenia Łodzi — 19 stycznia 1961 r.

*Rys. mgr inż.-arch. JAN MICHALEWICZ.*

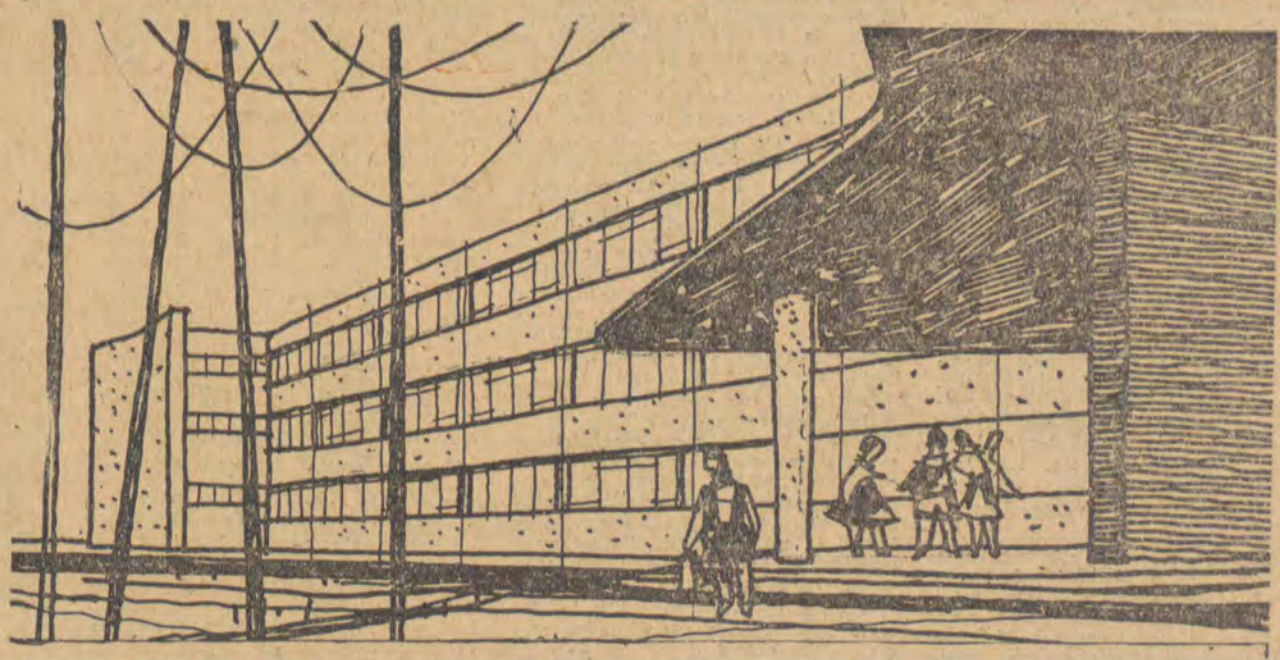

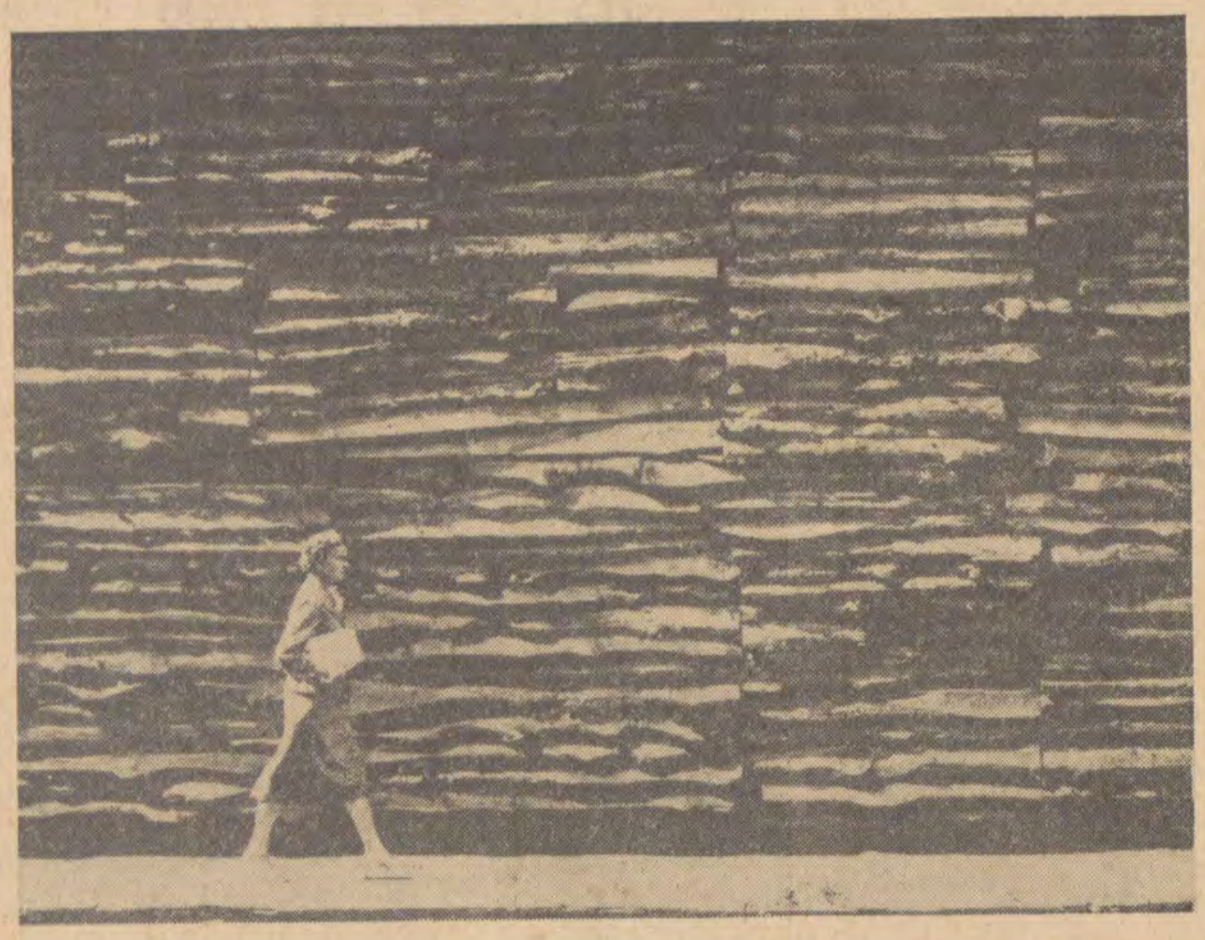

# SIÓDMY DZIEŃ KAINA

NA ZIEMI WIELUŃSKIEJ WOJNA NIE SKOŃCZYŁA SIĘ W CZTERDZIESTYM PIĄTYM. DŁUGO JESZCZE PO NOCACH BUDZIŁY LUDZI STRZAŁY. LINII FRONTU NIE ZNACZONO JUŻ CHORĄGIEWKAMI NA MAPACH, PRZEBIEGAŁA WEWNĄTRZ SPOŁECZEŃSTWA, NOSIŁA BRATOBÓJCZE PIĘTNO. ZAROSŁY GROBY, PRZYGASŁA PAMIĘĆ O LUDZIACH. ZRÓWNANY NIEMAL Z ZIEMIĄ GOTYCKI WIELUŃ, KTÓRY OKUPANCI SPALILI PEDANTYCZNIE DŹWIGNĄŁ SIĘ, ROZRÓSŁ, UNOWOCZEŚNIŁ. AKTORÓW DRAMATU Z TAMTYCH DNI SZUKAĆ MUSZĘ W NOWYCH BLOKACH.

MAM PRZEWODNIK, TOMIK WSPOMNIEŃ WYDANY PRZEZ „ISKRY", A W NIM NAZWISKA. NAJTRUDNIEJ BYŁO ODNALEŹĆ KRYSTYNĘ. WYSZŁA ZA MĄŻ, NAZYWA SIĘ INACZEJ, NAJBLIŻSI ZNAJOMI NIE WIEDZĄ, ŻE ONA WŁAŚNIE JEST BOHATERKĄ GŁOŚNEGO NIEGDYŚ DRAMATU.

Wtedy chętnie trzymano duże psy. Był to bowiem czas, kiedy po lasach snuły się wilki i ludzie stokroć od wilków gorsi.

— Pójdę, zamknę psa w komórce — powiedział.

Ale chwilę zwlekał z tym pójściem. Patrzał. Krysia szykowała kolację. Ładna była, gdy tak się krzątała koło stołu.

— Pośpiesz się, Antoś, herbata wystygnie.

Zapiął marynarkę. Wieczór, choć sierpniowy, był chłodny. Zauważyła, że na skroniach przybyło mu siwizny. Wyszedł przez kuchnię.

Nie kochała go. Może to i widział, może nie dostrzegał wiecznie zaabsorbowany, zalatany, zajęty sprawami innych nie dlatego, żeby później język strzępić, ale by pomagać. Judymową misję spełniać. Dzieliło ich siedemnaście lat i przepaść autorytetu.

— Z namowy wujków za niego wyszła — stwierdza Krystyna teraz. Lata przyćmiły ostrość cudzych spojrzeń, życie przebiegło obok, nic nie hamuje szczerości.

Za oknem trzasnął pistolet. Zdrętwiała. Strzały słyszała często, na ziemi wieluńskiej nie skończył się dotąd czas krwi, tego nagłego spięcia mięśni, skurczenia się w sobie, nie potrafiła nigdy opanować. Zrozumiała, że tym razem strzelają blisko, przeraźliwie blisko. Chleb potoczył się na stół. Wypadła przez kuchnię, korytarz. Klamka stawiła opór. Ktoś trzymał od zewnątrz. Szamotała się, ten ktoś był silniejszy.

— Nie wychodź, bo strzelam — warknął obcy.

Gdzieś obok seria rozpruła noc. Od szosy. Półprzytomna przebiegła mieszkanie. Szarpnęła, drzwi ustąpiły. Z tej strony nie stał nikt. Leżał pod oknem sypialni. Na jasnym swetrze i popielatych spodniach wykwitły ciemne plamy. Oddychał. Rzuciła się do izby, chwyciła garnczek, nabrała wody. Cuciła. Próbowała przemyć twarz. I tę okropną, ziejącą ranę nad okiem.

Dopiero później dowiedziała się, że przyszli we czterech.

Jakie były ostatnie słowa, jakie usłyszał 21 sierpnia 1948 roku Antoni Praszczyk, kierownik szkoły w Konopnicy? Strzelili w głowę. Dodali serię przez pierś i brzuch. Podkomendni „Murata" dobrze opanowali arkana tego rzemiosła, rzadko fuszerowali.

Następnego dnia ksiądz proboszcz zawiadomił o mszy za duszę męża. Poszła oczywiście. Ksiądz był wspaniałomyślny, nic wziąć nie chciał, powiedział, że z własnej woli tę mszę odprawia. Po nabożeństwie zaprosił Krystynę na plebanię. Ją i nauczyciela Ścigałę z pobliskich Rychłocic. Pocieszali, sekundował im przystojny, młody ksiądz z sąsiedniej Woli. Zwłoki męża leżały jeszcze w domu.

Na pogrzeb ksiądz z Konopnicy nie pojechał, bo to gdzie indziej w Żytniowie. Praszczyka pochował tamtejszy proboszcz.

Wróciła do Konopnicy. Ksiądz proponował opiekę, byle częściej Krystynę widywać, byle została. Szkole przydzielili nowego kierownika, pora była pomyśleć o wyprowadzce. Służbowe mieszkanie znajdowało się przecież w tym samym, co szkoła budynku.

Któregoś dnia, w południe, przed domem zatrzymał się motocykl. Wyszła zobaczyć. Przyjechał ksiądz z Woli, ten co był na styple. Wysoki, wysmukły brunet. Poprosiła, jak wypada, do środka. Przysiadł na kanapie, tuż przy niej. Wyłożył cel wizyty. Potrzebował gospodyni, chciał wdowę od razu wziąć ze sobą.

Uciekła do Wielunia. Miasto dawało azyl, szansę utonięcia w masie, zapomnienia.

Pracę znalazła szybko.

* * *

Cofnijmy się o rok. Mężczyzna w znoszonym ubraniu. Wartownik uniósł lufę automatu. Szept.

— Muszę rozmawiać z szefem, z samym szefem. To pilne, bardzo ważne i bardzo pilne.

Wartownik zlustrował sylwetkę.

Szef kazał wprowadzić. Mężczyzna rozejrzał się po gabinecie. Mapy, niedopałki, papiery. Zatrzymał wzrok na wartowniku. Ten stał w drzwiach, z dłonią na spuście. Na wszelki wypadek.

— Ja tylko w cztery oczy. Z samym szefem.

Więckowski skinął, wartownik wyszedł, zamknął drzwi. Gość prędko zdjął marynarkę, rozerwał podszewkę, wysupłał małą, czerwoną książeczkę. Podał. Na dowód, że mówi prawdę. Więckowski wolno obracał w palcach partyjną legitymację tamtego.

Mężczyzna dowiedział się przypadkiem, że leśniczy spod Wielunia ma spotkać się z „Muratem". Napoleoński ten pseudonim krył przedwojennego stupajkę, watażkę okrutnego i zajadłego. Mężczyzna odpoczął trochę, owinął legitymację szmatką, zaszył. Potem pożegnał się i wtopił znowu w czerń wieluńskiej ulicy.

* * *

— Noc była wyjątkowo ciemna. To było w czerwcu, tak, na pewno w czerwcu, pamiętam wysokie zboża, przed żniwami — wspomina Zawieja.

Prowadził leśniczy. Wzięli go dwa dni temu, po nocnej wizycie. Zapierał się, obiecali uniewinnienie. Szło trzynastu z Urzędu, czterech milicjantów. Więckowski samochód kazał zosawić w Lutotowie. Mogliby spłoszyć, lub nawet zginąć, ostrzelani w lesie.

Z przodu majaczyły czyjeś plecy, odsłonięte jak tarcza. Zawieja poczuł się zagubiony, prawie bezbronny. Byle prędzej zaczęło się dziać. Cokolwiek. W rozmaitych bywał opałach, ale ten marsz przez ciszę i ciemność, po omacku, rozstrajał nerwy.

Nadpłynął szept, z ucha do ucha: Jeszcze trzy kilometry. I niemal jednocześnie:

— Kto idzie?

Poderwali się, otoczyli. Dwóch. Może czujka? Ubrania, mundury nie znaczyły wówczas nic.

Decyzję podjął Więckowski.

— My od „Murata". A wy? Wygrał.

Okazali się sympatykami. Przekazali najnowszą wiadomość. Wracali z nadleśnictwa, tam dowiedzieli się, że ubecy aresztowali i leśniczego. Szef zorientował się natychmiast.

— Musimy ostrzec Kubiaka — powiedział.

Tamci odeszli, zadowoleni.

U Kubiaka właśnie odbyć się miało to spotkanie z „Muratem". W kolonii Dobrosław, w samotnej zagrodzie na skraju lasu. Okrążyli ją. Zawieja przycupnął pod płotem, blisko Kempińskiego. Namacał granat. Troche jakby przejaśniało. Kawałek odkrytej przestrzeni.

Więckowski, leśniczy i Kubasiewicz z wojewódzkiego znikli w chałupie. Szef chciał udać łącznika, że niby niesie meldunek dla „Starego". Dobrze widać poszło, nie wychodzili. Nagle rozległ się krzyk. Gdzieś z boku. I zaraz pociski rozryły piasek wokół głowy. Sypnęło po oczach. Zawieja skulił się za wątłą osłoną sztachetek.

Dojrzał umykającą przez żyto sylwetkę. Daleko, cholera. Wziął muszkę.

— Gdy otaczaliśmy budynek, milicjant szedł zamknąć kocioł. Pod drzewem coś mu mignęło jaśniejsza plamą. Patki czyjegoś kołnierza. Pomyślał, że skoro w mundurze, to swój i podszedł. Nadział się prosto na bandziora „Gwiazdę" i lufę przed czołem. Grzecznie oddał tamtemu automat, każdemu życie miłe. „Gwiazda" wycofywał się przez żyto. Tyłem, później biegiem. Teraz dopiero milicjant wszczął alarm. „Gwiazda" puścił serie. O mało mnie nią pod tym płotkiem nie załatwił. No i spłoszył Kubiaka. Kiedy nasi weszli, stary cwaniak leżał na ławie, spać mu się zachciało, dla niepoznaki. Tłumaczyli, że szef jest łącznikiem, że przynosi „Muratowi", czyli u nich „Staremu", meldunek. Nie wierzył, wietrzył pismo nosem. Greka strugał, że nic nie rozumie. Spróbował zmykać, jak tylko się zaczęło, ale skoczył pechowo, prawie w ramiona Kubasiewicza. „Murat" pozostał nieuchwytny.

* * *

Finał rozegrał się w Łodzi, przed Sądem Wojskowym. Na ławie oskarżonych niski, krępy mężczyzna. Jan Małolepszy był odważny, póki jako „Murat" rządził śmiercią cudza. Akt oskarżenia zarzucał mu ponad czterdzieści zabójstw, sto kilkadziesiąt napadów, sianie terroru.

Bandę zorganizował po wojskowemu. Podzielił ją na pięć grup, które grasowały w wyznaczonych rejonach. „Mucha" czyli Józef Ślazak działał w Wieluniu, „Synek" Władysław Dworniak na terenie powiatu, „Boraj" w piotrkowskim, „Marianek" w łaskim, „Kuba" Chowański w sieradzkim. Razem coś około pięćdziesięciu. Łącznicy zapewniali kontakt z „Muratem".

Od czasu potyczki u Kubiaka funkcjonariusze Urzedu Bezpieczeństwa nieustannie deptali bandzie po piętach. „Murat" stopniowo tracił autorytet oparty na micie nieuchwytności, częściej dochodziło do wewnętrznych scysji o prymat. Przestała mu wystarczać sympatia bogatych chłopów. Im ufał, panicznie za to bał się wydania przez biedniaków. Coraz któryś padał pod uderzeniami kijów, żeby chłosta przeraziła innych. Sytuacja zmuszała „Murata" do kaptowania nowych sprzymierzeńców. Umyślił szukać ich wśród ludzi najbardziej przez wieś szanowanych.

Ksiądz Faryś z parafii Rudlice pobłogosławił „Murata" i jego kamratów. Szanse watażki momentalnie podskoczyły. W dodatku ksiądz Faryś doprowadził do spotkania z jakimś tam „przedstawicielem" bliżej niekoreślonego „zagranicznego ośrodka", który wielce ceremonialnie mianował Małolepszego dawnego podoficera kapitanem. „Rąbać zdrajców, szpicli, tłuc i rozbijać ORMO, wysadzić posterunki w powietrze, wszystkich milicjantów i ubowców wystrzelać, polować na grube ryby komunistów, nie oszczędzać, strzelać, życzyłbym sobie, żeby ze trzech powiesić dla większego strachu" — brzmi jego rozkaz z tego okresu.

Z księdzem Łososiem z Szynkielowa poznał „Murata" łącznik. O miedzę od Szynkielowa leży Konopnica. Proboszcz konopnicki słyszał trochę o znajomościach sąsiada i postanowił wykorzystać je do własnych, bardzo prywatnych celów. Wybrał się z wizytą. Przy stole, ot tak, mimochodem, oświadczył, że ma w parafii poważne kłopoty. Kierownik szkoły Praszczyk jaczejkę komunistyczną założył i młodzież od kościoła odciąga. Taki wart szubienicy. Łosoś obiecał wiadomość przekazać, gdzie należy.

Przekazał. I „Murat" pojął, że może zaskarbić wdzięczność aż dwóch księży naraz. Tak i dopełnił się los nauczyciela Praszczyka. Wartko potoczyły się dalsze wydarzenia. W październiku trafił w zasadzkę władz bezpieczeństwa łącznik „Babka". Wkrótce rozszyfrowano całkowicie organizację muratowców. Zapełniła się ława oskarżonych.

Wyroki padły surowe, surowe bowiem były zbrodnie. Wobec kilku prezydent skorzystał z prawa łaski.

* * *

Wesele trwało dwa dni. Dziewczynie z zapadłej Banasiówki wyjście za nauczyciela zdawało się szczytem kariery. Antoś przeniósł się do Konopnicy, dwupokojowe mieszkanie dostał.

Ślicznie wyglądała w słoneczne listopadowe południe w długiej do ziemi sukni z welonem. Aż się ksiadz od ołtarza uśmiechnął.

W ogóle ksiądz był sympatyczny. Urody mu co prawda natura poskąpiła, ale nadrabiał te braki pogodnym usposobieniem. Zawsze stawał się duszą towarzystwa. Przekonała się wnet o tym, gdyż ich co niedziela po sumie zapraszał na obiad. Niedzielne wizyty weszły w zwyczaj. Zaprzyjaźnili się. Praszczykowie regularnie do kościoła chodzili, musiało się to księdzu proboszczowi podobać.

Antoniego rozpierała energia. Taki już miał charakter. Namawiali do partii, odmówił. Praktykował, wierzył, poza tym nie wszystko mu odpowiadało. Działał po swojemu, wybierał wedle własnych przekonań. Zorganizował jakieś kursy, grosza za nie nie brał, założył i prowadził Służbę Polsce. Krystyna paradowała w mundurze komendantki dziewcząt. Sam ksiądz chwalił, że jej do twarzy.

Ksiądz kupił radio. Bateryjne, prądu Konopnica nie miała. Muzykę nadawali, różne ciekawe audycje. Kilkakroć proponował, że może przecież u niego posłuchać. Mąż wiecznie poza domem, gdzież sens nudzić się samotnie. Nie śmiała.

Praszczyka też lubił. Ilekroć spotkał samego, a mieli trochę czasu, zabierał do siebie. Słuchali tego radia, rozmawiali, częstował wódką, gościnnie do niej zachęcał. Odmawiać byłoby niegrzecznie. Gdy się już Antoś upił, nigdy go nie zostawił bez opieki. Sam się fatygował, odprowadzał do żony. Niech widzi, jak męża kieliszek pociąga.

Skusiła się wreszcie na radio. Akurat latem, pół roku po ślubie. Włączył aparat, rozległa się muzyka, wyjął słodycze.

— Takie dziecko, to tylko w czoło można pocałować.

Prosił, żeby częściej przychodzić.

— Głupia byłam, naiwna. Rodzice, potem siostry w internacie, bo w wojnę do zawodowej w Częstochowie chodziłam, uczyli, że księdza to się po rękach jeno całuje.

Resztę zrozumiała na procesie. Jakby obuchem w łeb. Zamknął się krąg tragedii.

Jest rok sześćdziesiąty czwarty. Przyznaję, miałem przy pisaniu obiekcje. U nas panuje tendencja do generalizowania, że jak kominiarz coś ukradnie, to zaraz na wszystkich kominiarzy koso patrzymy, niech no któraś ekspedientka szynki nie doważy, czujnie śledzimy palce innych. Idiotyzm, krzywdzący idiotyzm. Pojedyńcza parszywa owca nie umniejsza od razu wartości stada. Co wyjaśniwszy, wróćmy spokojnie do wieluńskiego parku z obrotową fontanną i domem kultury w starej cerkwi.

Krystyna mieszka w pobliżu. Wyszła za mąż dwanaście bodaj lat temu, jest matką. On pracuje jako urzędnik, ona dorabia rzemiosłem wyuczonym w częstochowskiej szkole. Przeszła kiedyś, na początku, okres załamania. Minęło. Nie wraca do wspomnień. Któregoś dnia, niedawno, spotkała w „Delikatesach" przy ladzie księdza z Konopnicy. Wtedy dostał karę śmierci, prosił o łaskę, zmieniono na dożywocie. Odsiedział sześć czy siedem lat. Rozmawiali chwilę. Beznamiętnie, jak bardzo dalecy, przypadkowi znajomi. Widziała go jeszcze parę razy, kiedy swoim samochodem przejeżdżał przez Wieluń. Ot, wymiana ukłonów. Nawet nie powtarza tego mężowi, bo i po co.

Stanisława Zawieję zastałem u teściów pod miastem, z żoną, synem drugoklasistą i córką, która po wakacjach pójdzie do liceum. Potężne chłopisko, grzebie przy motocyklu razem ze szwagrem Skupieńskim. Jak potoczyły się jego koleje? Po prostu. W Urzędzie pracował do pięćdziesiątego drugiego. Dziś jest magazynierem spożywczej hurtowni, statecznym tatą, kończy czterdziestkę i jak wielu, frapuje go motoryzacja.

Kempiński, towarzysz Zawiei z akcji u Kubiaka, jest gdzieś w drodze. Kierowca PKS, takiego trudno w domu spotkać. Żona przerywa pranie kaftaników wnuka, żeby mi o tym powiedzieć.

Więckowski wyprowadził się na stałe z Wielunia. Napotkałem tylko wspomnienia byłego szefa, w zbiorze „Iskier". Lojalnie stwierdzam, że czerpałem z nich materiał do reportażu, nazwiska, zdarzenia.

Został jego zastępca, Józef Kazimierski, dyrektor PKS. Mam pecha, wyjechał służbowo.

I jeszcze jedno. Rację miał nieznany towarzysz, który przed trzynastu laty zjawił się nocą w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa, że domagał się rozmowy w cztery oczy, bez świadków. Pracował tam na dwa fronty obecny cholewkarz-spółdzielca. Swoje odsiedział, nauczył się zawodu i teraz najwyżej na zły gatunek skóry narzeka.

Aktorzy tragedii zeszli ze sceny, lecz zamiast za kulisy, weszli w życie.

RYSZARD RADUSZEWSKI

*PO-64*
*w transakcjach*
*łódzkich central*

# MADE IN POLAND

**W dniach od 7 do 21 czerwca odbyły się XXXIII Międzynarodowe Targi Poznańskie. Brało w nich udział 1.346 firm zagranicznych oraz 231 central handlowych z krajów socjalistycznych. Polski przemysł reprezentowało 2.188 producentów. Spośród 54 państw uczestniczących w tegorocznych targach — 30 wystąpiło z oficjalnymi, kolektywnymi ekspozycjami. Wartość zawartych tranzakcji przewyższa poważnie obroty ubiegłoroczne.**

**Polski handel zagraniczny osiągnął najwyższe efekty w branży maszynowej. Maszyny i urządzenia były przy tym przedmiotem największych tranzakcji. Ich udział w eksporcie na tegorocznych targach wyniósł 60 proc.**

* * *

**A jak powiodło się naszym łódzkim centralom handlu zagranicznego? Jak przedstawiają się ich targowe plony?**

— Dziękuję, wcale nieźle — mówi **dyrektor K. Majkowski** z centrali handlu tekstyliami „CETEBE" i prezentuje listę dokonanych na targach obrotów. **Łączna ich kwota przewyższa 6 milionów zł dewizowych z czego 97 proc. przypada na tranzakcję zawarte z krajami kapitalistycznymi.**

Największy nasz odbiorca tkanin bawełnianych to Kanada, zaś pluszy — USA. I to jakich pluszy? Nie tylko dekoracyjnych czy meblowych, ale przede wszystkim na różne wdzianka, bluzki, itp. konfekcyjną odzież. Podczas tegorocznych targów biura „CETEBE" odwiedził pewien poważny kupiec z N. Jorku. Obejrzał ekspozycje polskich tkanin i.., zaczął mówić o pluszach. Bo jak się okazało plusze „Made in Poland" są takimi akurat, jakich szukał. Nie myślcie jednak, że handlowcom z „CETEBE" udało się tak bez trudu i, od razu podpisać kontrakt. Nic podobnego. Chodziło przecież o cenę, o uzyskanie jak najlepszych warunków kontraktu. Przedstawiono więc kupcowi całą dokumentację techniczną produkcji, z której wynikało jakie to są te plusze dobre i jak wielkie są ich wartości użytkowe. A gdy i tego jeszcze było mało ulokowano go w samochodzie i... zawieziono do Kalisza. Tam, u samego producenta, tj. w Kaliskich Zakładach Pluszu i Aksamitu przekonał się, że polscy handlowcy nie przesadzili ani o jotę w zachwalaniu towaru.

Tranzakcja została zawarta i to na niebagatelną sumę 403 tys. dolarów. Amerykanin zaś zapowiedział swoją wizytę również i na targach przyszłorocznych. Handlowcy z „CETEBE" otarli pot z czoła, i zadowoleni powrócili do Poznania. Czekał tam na nich już nowy klient..

To tylko tak się łatwo pisze „czekał klient". Każdy kto choć trochę zetknął się z handlem zagranicznym wie, że handlowanie na zagranicznych rynkach nie jest wcale takie łatwe. Trzeba nie tylko umiejętnie ominąć szereg skomplikowanych problemów, ale i tak pokazać towar, aby nie dać się konkurencji, często bardzo groźnej, znanej z wysokiej klasy wyrobów. Nasze tkaniny coraz lepiej dają sobie z nią radę. I o ile w porównaniu z targami ubiegłorocznymi koniunktura na nie nie była mniejsza to w tym roku „CETEBE" może już osiągać za nie bardziej dla nas korzystne, wyższe o 2 do 15% ceny. **Stało się to możliwe dzięki wyraźnej poprawie wzornictwa, oraz wprowadzeniu nowoczesnych, szlachetnych apretur i modnych film-druków.**

Dyr. Majkowski bardzo mocno akcentuje ten postęp w ogólnym wyglądzie tkanin. Widać wyraźnie efekty nawiązanej w roku ub. przez nasz przemysł lekki współpracy z francuską firmą „Pierre Carlin", wpływ francuskiego wzornictwa na produkcję polskich tkanin i odzieży. Do wzbogacenia asortymentu przyczyniają się też włókna pochodzenia chemicznego, które coraz bardziej wypierają stary, tradycyjny surowiec. **Obecnie udział tych włókien w produkcji polskiego przemysłu włókienniczego sięga 37 proc., w roku zaś 1970 wynosić będzie 55 proc.**

Na tegorocznych, XXXIII MTP, cała prawie polska ekspozycja przemysłu lekkiego była pod znakiem chemii. Na stoisku przemysłu bawełnianego wyróżniały się zwłaszcza tkaniny koszulowe „minimum iron", nie wymagające prasowania, kretony satinowane z jedwabistym wykończeniem, tkaniny wełnopodobne o apreturze niemnącej lub trwale usztywniającej. W grupie tkanin typu wełnianego zainteresowanie kupców budziły zwłaszcza elany, tj. tkaniny wyprodukowane **z polskiego włókna poliestrowego.** Były więc „nowości" jak ubraniówki-tropic, kolorowe tkane oraz o dyskretnie, stonowanych kratach, tkaniny z różnokolorowych włókien poliamidowych i modne tkaniny płaszczowe (60 proc. elany) o grubym splocie, ozdobione kolorową przędzą fantazyjną.

* * *

Najmłodsza łódzka centrala handlu zagranicznego „Confexim" po raz pierwszy wystąpiła na międzynarodowym forum handlowym **z tak dużą i ładną ekspozycją.** Byłam akurat przy tym jak odwiedziła ją znakomita znawczyni mody, przedstawicielka wielkich domów konfekcyjnych z Nowego Jorku — pani Wiliams. Jej ocena ekspozycji, jak również poszczególnych modeli była jak najbardziej pochlebna. Pani Wiliams chwaliła modny krój, gustowne zestawienia barw, odmładzające, jasne tonacje kolorów sukien i pozostałej odzieży. Amerykanka zapowiedziała swój ponowny przyjazd do Polski w celu nawiązania kontaktu z naszym przemysłem odzieżowym.

Również i druga wizyta — pani Puncano z włoskiej firmy modeli konfekcyjnych „Seco-Delta", wróży nadzieję wejścia z polską konfekcją na tak wybredny rynek jakim są Włochy. Pani Puncano interesowała się w „Confeximie" szczególnie naszymi bluzkami, koszulami męskimi i chusteczkami, ale i o pozostałych modelach i wzorach odzieży wyrażała się z uznaniem. A przecież Włochy są naszym konkurentem na światowych rynkach odzieżowych **i już samo nawiązanie z nimi współpracy należy ocenić jako niezwykle korzystne.**

**— Jak więc przedstawiają się tranzakcje zawarte na targach?**

— Osiągnęliśmy obroty **o 1 mln zł dew. większe** niż w roku ubiegłym — informuje dyr. Kruczkowski z „Confeximu". — Mamy też zamówienie na 2,5 tysiąca ubrań męskich do Danii, rozszerzyliśmy kontakty handlowe z krajami afrykańskimi (Nigeria, Libia, Etiopia), dokąd sprzedaliśmy koce bawełniane, do Kanady wysyłamy swetry męskie, do krajów europejskich różną konfekcję lekką, jak np. piżamy, koszule, pończochy, i skarpetki, bieliznę pościelową, ręczniki itp.

Przez cały czas trwania targów zainteresowanie stoiskiem „Confeximu" było duże. W ciągu 12 dni targowych handlowcy z tej centrali przeprowadzili 160 rozmów z przedstawicielami handlu zagranicznego krajów socjalistycznych oraz z firm kapitalistycznych. Nawiązano również kontakty z firmami dotychczas nieznanymi. **Ogółem wartość osiągniętych na targach obrotów „Confeximu" wynosi ponad 3.700 tys. zł dew.** Stworzono przy tym platformę do rozszerzenia dotychczasowych handlowych kontaktów.

Ta ostatnia sprawa jest niezwykle ważna dla handlu zagranicznego. Udział w targach mierzy się bowiem nie tylko wielkością dokonanych tranzakcji, ale i możliwościami zwiększenia perspektyw. Pod tym względem Międzynarodowe Targi Poznańskie mają olbrzymie znaczenie, nie tylko dla nas, ale i dla pozostałych wystawców, przyczyniają się bowiem do poznania wzajemnego kupców i producentów całego świata, do zacieśnienia między nimi współpracy. Im też, targom, w dużej mierze zawdzięczać należy m. in. i to, **że np. nasz tegoroczny eksport konfekcji do Kanady wzrasta o 500 tys. dolarów**, zaś — jak wspomniałam — obroty uzyskane na XXXIII MTP są o 33 proc. większe niż w roku ubiegłym.

Jak z tego widać, polska konfekcja, mimo, że dopiero od 1,5 roku pokazuje się na światowych rynkach, zyskuje sobie coraz lepszą za granicą markę. Może nie tak popularna jak np. w tekstyliach, ale już poszukiwaną i ceniona. Duża staranność wykonania, modny krój oraz wysoka jakość tkanin zjednują jej coraz większe uznanie u zagranicznych kupców. **Interesującą grupę stanowi także polska odzież z elany oraz wyroby dziewiarskie z elastilu (polskie helanco)**, a także z różnych mieszanek włókien naturalnych z chemicznymi.

I gdyby nie zawsze zadowalająca jakość tzw. dodatków (guziki, drobna galanteria, tasiemki, zamki błyskawiczne, klamerki itp.) „Confexim" mógłby spokojnie patrzeć w przyszłość. Wyroby naszego przemysłu galanteryjnego trochę ten spokój mąca i zakłócają.

**KRYSTYNA WYRZYKOWSKA**

# IMPREZA

## POD RASOWYM PSEM

*Fot. E. Kudaj*

Nigdy jeszcze nie byłem na wystawie psów rasowych. Odbywały się co prawda takie sympozja za czasów mojej młodości w Karlsbadzie lub Ostendzie, ale jakoś nie bywałem.

A psy są piękne. Patrząc na mądre i znudzone psie mordy zaczynałem nawet trochę rozumieć ludzi, którzy za „chryzantemę" maltańską płacą 10 tysięcy złotych. „Chryzantema" to taki pies bardzo mały, bardzo biały, i bardzo owłosiony. Na dobrą sprawę nie wiadomo, gdzie przód a gdzie tył. Mój znajomy twierdzi, że jest na to sposób – podsunąć psu kiełbasę. Ale nie jestem pewien, czy maltańczyki jedzą tak prostackie potrawy. Słyszałem, że niektórzy przedstawiciele psiej arystokracji poza jajkami i cielęciną nie chcą nic innego brać do pyska.

Skoro padło słowo arystokracja, niech padnie słowo rasizm. Przecież na płycie stadionu 3 Maja odbywała się wystawa psów rasowych.

– Panie – powiedziano mi – rasa to nie wszystko, pies rasowy może być głupi jak osioł. Inteligencja ma niewiele wspólnego z rasą. Tak jak u ludzi – zakończono filozoficznie.

Byłoby jednak bardzo źle, gdyby w psiej rodzinie wszystko było „jak u ludzi". Na płycie stadionu, w kategorii bokserów znalazł się jeden szalenie miły pies. Gryzł konkurentów, szarpał właścicielkę, a nawet w pewnym momencie rzucił się na sędziego. „No bracie – pomyślałem sobie – już ty nagrody nie dostaniesz". I rzeczywiście. Żal mi tego psa. Wykazał przecież swój niezależny charakter, nie ukrywał swoich uczuć wobec konkurentów, miał odwagę wyrazić swój stosunek do człowieka, w którego rękach spoczywały losy nagrody... Czy ktoś z państwa zdobyłby się na coś podobnego?

Boksery to zresztą bardzo ciekawe psy. Mają fizys nieco skrzywdzoną przez los, ale za to w ich oczach palą się iskierki prawdziwej inteligencji. Właśnie boksery i owczarki szkockie collie budzą moją najwyższą sympatię.

Z katalogiem w ręku przechadzałem się po trybunach. Kudaj szalał na stadionie, głaskał pudle i jamniki – ustawiał przed obiektywem. Psy nie bardzo chciały się fotografować, poniektóre warczały na Kudaja. Potem mi mówił, że nie zdarzało mu się, aby warczano na niego w czasie pracy.

W katalogu napisano, że „pies to najwierniejszy przyjaciel" i że „nie daj go skrzywdzić". Dobre sobie! Spróbowałby kto skrzywdzić boksera ważącego kilkadziesiąt kilo.

Nie zszedłem na płytę stadionu. Wiem, że pies jest przyjacielem człowieka – ale może pies o tym nie wie? Wystarczyły mi doznania wizualne i modulowany barytonik z głośnika.

– Właściciele psów rasy wyżeł niemiecki szorstkowłosy kategorii młodzieżowej proszeni są o zgłoszenie się na ring nr 4.

Na ringu odbywały się spacery właścicieli, zaglądanie psom w zęby. Potem to samo z psami rasy kerry blue terier, cocker spaniel, setter gordon, welsh terier... Polskie nazwy też się spotykało – pudel duży, pudel mały, pudel miniatura, wodolaz...

I tak z przerwami cały dzień.

**JACEK BRYCZEWSKI**

MIODRAG PAVLOVIĆ

# RYBKI

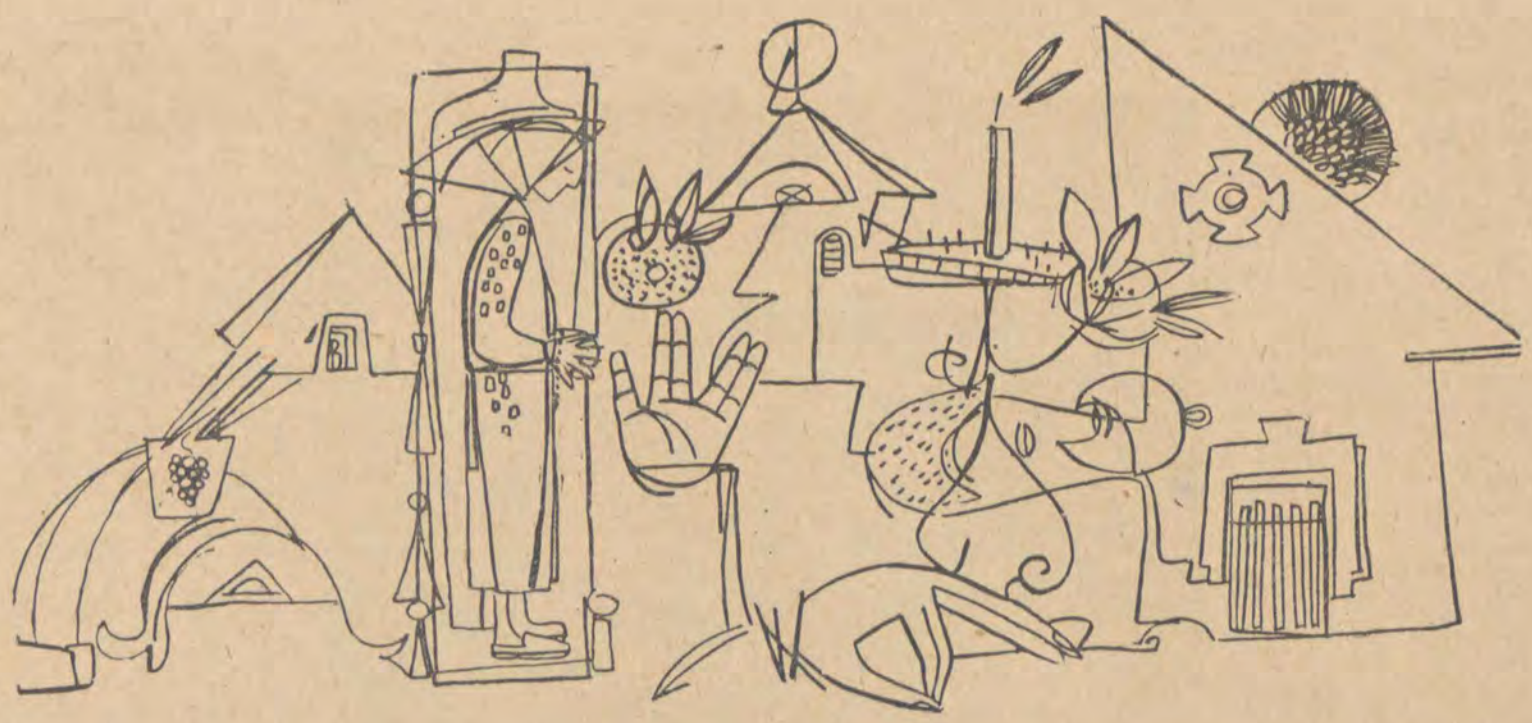

Miodrag Pavlovic — pisarz serbski urodzony 28. XI. 1928 r. w Nowym Sadzie. Studiował medycynę i obok pracy pisarskiej praktykował jako lekarz. Pozostając pod wpływem współczesnej poezji angielskiej, w tomiku „87 wierszy" ukazał nowe treści przy pomocy nowoczesnych środków wyrazu, odmiennych od form współczesnej mu liryki młodych, serbskich pisarzy, którzy dając wyraz swoim nastrojom naśladują poezję Jesienina. Bogactwo nieoczekiwanych, podświadomych niekiedy skojarzeń nadaje charakterystyczny ton jego twórczości. Jego forma wypowiedzi, pozornie chaotycznej, zaskakuje drastycznością metafor. Uznając pierwszeństwo intelektu nad stroną emocjonalną, wyrażał w swoich wierszach niemoc współczesnego człowieka w stosunku do świata i pragnienie zapanowania nad tą niemocą. („Obrona naszego miasta)".

Obok wierszy pisuje utwory dramatyczne („Kroki w sąsiednim pokoju") i prozatorskie. Utwory Miodraga Pavlovica — to: „87 wierszy" (1952), „Filar pamięci" (1953), „Bezbrzeżny most" (1956), „Octavy" i „Czasy poezji" (1958).

Opowiadanie „Rybki" wyjęto z tomu opowiadań „Most bez obala" („Bezbrzeżny most" wyd. 1956 r. w Belgradzie).

W ogrodzie nie było teraz żywego ducha. „Chciałabyś się trochę przejść? — zapytałem. Miriana stała tuż obok wsparta pod boki i wpatrzona w zamek, którego dotykałem, gotów otworzyć furtkę.

„Nie. Nie mogę. Nana by się gniewała" — powiedziała — „Zamknij, proszę cię, tę furtkę."

W ogrodzie nie było żywego ducha. Nie miała ani kogo ani czego się bać.

„Chodźmy kawałek w stronę obserwatorium" — nalegałem stanowczo, jakbym był pewien, że powinna się zgodzić.

„Nie mogę" — powtórzyła.

„Nie wygłupiaj się: Możesz tylko nie chcesz! Ale dlaczego nie chcesz?"

„Nie chcę i nie mogę. I już! Zamknij tę furtkę"

Schwyciłem ją za rękę, krótką okrągłą rękę, schwyciłem i zajrzałem jej w oczy. — „Chodź, przejdziemy się trochę."

Ptaki opadły na szczyt dachu. Wydawały się teraz rude. Ona nie wyrywała ręki, co napawało mnie nadzieją, zaraz jednak rzuciła swoje:

„Zamknij furtkę"

„I co dalej?"

W każdej chwili ktoś mógł wyjść z domu, a ja wciąż jeszcze trzymałem ją za rękę. Myślałem, że uda się ją zapeszyć i zmusić do ustępstw.

Powiedziała: „Usiądźmy za domem. Tu nas może zobaczyć każdy, kto przechodzi ulicą".

„Niech sobie zobaczy! Ale lepiej byłoby pójść do Obserwatorium".

„Pójdę oskrobać ziemniaki!"

„Dziś nie ma na obiad ziemniaków!"

„Co ty tam wiesz" — odpaliła, wyrwała rękę i odeszła w stronę domu.

Było gorąco. Przez sad na wzgórzu przesunęła się chłopka z torbą na ramieniu. Popatrzyłem za Mirianą. Była mała, o okrągłych kształtach. Usiadła na stercie cegieł, obok drabiny wspartej o ścianę. Nie patrząc na mnie obciągała na kolanach sukienkę. Nie chciało mi się za nią pójść, zawróciłem więc pomiędzy pnie winowej łozy ku jednej w tym ogrodzie moreli. Zacząłem od dołu oglądać ją ze wszystkich stron i rozchylając gałęzie zerkałem spoza liści.

„Ani jednej już nie ma" — poinformowała Miriana — to ja wszystkie zjadłam".

„Znalazłeś coś" — zapytała.

Podszedłem ku pnączom winogron, klękając przy jednym ze szczepów.

„Winogrona jeszcze są zielone — powiedziała Miriana, tym razem bez złośliwości. Udałem, że na ziemi, którą rozgrzebuję patykiem widzę coś niezwykłego.

„Nie niszcz glist! — wykrzyknęła Miriana — „Są pożyteczne"

Wzdłuż płotu przechodził właśnie jakiś człowiek, czułem, że przygląda się temu co robię, a że właściwie nic nie robiłem — było mi wstyd. Mimo to kopałem jeszcze długo. Z chwilą gdy mi się to zupełnie zmudziło, poszedłem umyć ręce do studni.

Studnia przykryta była drewnianą budką, a że czas był gorący i suchy, trzeba było wiadro długo opuszczać w głąb. Za moimi plecami zjawiła się Miriana.

„Co to jest psychoza?" — spytała.

„Nie wiem!" — odburknąłem.

„Jak to nie wiesz, skoro chodzisz do gimnazjum?"

„Wiem dla siebie"

„Co ci z tego przyjdzie jeśli mi nie powiesz?"

Słychać było, jak wiadro chlupnęło głęboko na dnie. Przechylona poprzez otwór nad studnią, powiedziała z jej wnętrza:

„Spuść jeszcze."

Odwinąłem linę, po czym stanąłem przy niej i przecisnąłem głowę, by dojrzeć zanurzone wiadro. Usunęła się, robiąc mi miejsce. Żywiłem nadzieję, że dopóki tak stoi, przechylona uda mi się zerknąć na jej piersi, jak to już kilkakrotnie miałem okazję zrobić. Wewnątrz studni jednak było tak ciemno, że niczego nie mogłem dostrzec. Dobiegło mnie tylko pobrzękiwanie łańcucha i jego echo odbite w głębi kiedy zaciskałem linę.

„Zrobione" — powiedziałem rozczarowany

Studnia odpowiedziała echem. Głos dochodzący z głębi był podobny do mego, tylko brzmiał bardziej po męsku, dojrzalej. Wydobyłem głowę na światło dzienne.

„Tylko mnie nie popchnij" — powiedziała i to też odpowiedziało echem. Budka ponad studnią zakrywała ją do pasa. Patrzyłem na część nieosłoniętą.

„Jak tu mój Boże wytłumaczyć jej co to jest psychoza?" — pomyślałem.

„Ciągnij" — rozkazała z głębi studni.

Obracałem korbę powoli, oblema rękami. I wciąż patrzyłem w tym samym kierunku poprzez ramię. Wreszcie Miriana ukazała się w całej okazałości, czerwona na twarzy.

„Gdzieś ty słyszała słowo „psychoza"?

„Od twojej mamy" — odpowiedziała.

„Ale dlaczego nie chciałaś iść ze mną na spacer, na wzgórze? — zapytałem srogo.

„Bałam się" — powiedziała, patrząc na mnie z ufnością.

„Mnie się bałaś?" — spytałem zaskoczony.

„Ależ nie, nie ciebie!"

„Więc kogo?"

„Cóż to nas obchodzi?"

„Jest tam pewien mężczyzna" — szepnęła.

„Zawsze tam stoi!"

„Czy to przypadkiem nie strach na wróble?"

„Trzyma ręce w kieszeniach" — dodała już zupełnie cichutko.

„Pewnie agent" — wyrzekłem z powagą.

„To nie agent! Patrzył na mnie i na Verę, kiedy przechodziłyśmy drogą. Oglądał się nawet za nami! Boję się go!"

Wyciągnęła wiadro i polała mi ręce wodą. Potem oboje napiliśmy się wody z wiaderka. Woda była zimna. Prysnąłem jej w twarz, aż się zachłysnęła.

„Ale dlaczego się boisz kiedy jestem z tobą." — dopytywałem.

„Niczego nie rozumiesz!" — odpowiedziała wrzucając wiadro do studni.

„Ty znowu dużo rozumiesz!" — poczułem się dotknięty.

„Chodźmy" — zgodziłem się.

„Chodź, usiądziemy na cegłach!"

„Co to jest psychoza?"

„Kiedy to mama mówiła?"

„Powiedziała do babci: „Ta wojenna psychoza".

Usiedliśmy. Usiadła bliziutko.

„Ach tak" — powiedziałem.

„Co ach tak?"

„No właśnie to: psychoza wojenna".

Patrzyłem w sad na wzgórzu. Czyżby naprawdę stał tam w ciągu całego dnia jakiś mężczyzna?

„Jeśli już tak bardzo ci na tym zależy — to psychoza oznacza nastrój ludzi w czasie wojny — odpowiedziałem na pytanie.

„Bujasz!"

Zapadło milczenie. Spojrzałem na jej twarz. Miała ogromne niewinne oczy, spojrzenie bystre i bardzo ufne, i pomyślałem sobie, iż to, że kłamie jest równie naturalne jak nieuniknione. Zauważyłem, że panuje cisza. Uświadomiłem sobie również i to, że znikąd nie dociera ostrzegawcze szuranie kroków. Siedziała obok, blisko, była jakaś uległa. Obejmowałem ją wpół, powoli stopniowo. Odpychała moje piersi rączkami, ale wstałem i nachyliłem się, próbując przyciągnąć ją ku sobie; dał się słyszeć stukot drewniaków w części ogrodu, którą przesłaniał dom. Miriana spojrzała z wyrzutem i smutno. Ponownie usiadłem na swoim miejscu. Nikt się nie zjawił, tylko gdzieś łupnęły drewniane drzwi.

Tak jak pozornie opierała się, tak i kłamała o tym mężczyźnie na wzgórzu. Dlaczego tak kłamie? — prześladowała mnie uparta myśl?

„Nie kłamię" — rzuciła nieoczekiwanie.

„Chciałbym zobaczyć mężczyznę, który stoi na wzgórzu" — zażądałem — „zaprowadź mnie tam."

„Dobrze, chodźmy" — zgodziła się. Wstaliśmy. Znów zapadło milczenie. Próbowałem ją przytulić, lecz tym razem wymknęła się bez wysiłku. Stojąc, była ode mnie dużo niższa. Wybiegła na ścieżkę, gdzie mogli nas z okien widzieć domownicy. Zatrzymała się tu, spokojna, jakby nic nie zaszło i jakby nic stać się nie miało.

„To jakiś chłopak?" — dopytywałem idąc.

„Jaki tam chłopak" — wykpiła mnie — starszy pan w niebieskim kapeluszu na głowie. Rozpoznasz go z daleka".

Miriana prowadziła mnie okrężną drogą Mijaliśmy domki o rozwartych na oścież drzwiach i oknach przesłoniętych zaciemniającym papierem. W jednym z ogródków przykucnęło dwoje dzieci, w innym, nieco wyżej jakaś kobieta w niebieskiej sukni (nie bieskiej, co ma swoją wymowę) wyrzucała śmieci. Kobieta była młoda, miała białe, bose nogi — trochę za grube jak na mój gust. Uderzyła kilkakrotnie blachą o blachę i odwróciwszy się do nas tyłem, wracała do domu wolno, podczas, gdy my wolno mijaliśmy jej ogrodzenie.

Kiedy wspięliśmy się do drogi, Belgrad zalśnił u naszych stóp w południowym powietrzu przesyconym kurzem.

Gościniec szerokimi skrętami wił się, na przemian w kierunku miasta, to znów w kierunku wzgórz. Na horyzoncie nie było nikogo. Nie było sensu iść dalej. Chciałem usiąść w cieniu jakiegoś parowu.

„Spójrz Miszo, znowu uchodźcy!" — wskazała Miriana ręką w kierunku miasta. Jak tłum rekrutów w szeregu, ludzie nadciągali od peryferii ku błoniom, obładowani pstrymi tłumokami i walizkami. Widok ostatnimi czasy zbyt częsty, by mógł mnie zaskoczyć.

„Pewnie radio zapowiedziało nalot" — stwierdziłem.

„Cóż teraz zrobimy?" — zapytała.

„Nic, pójdziemy dalej."

Byłem pewien, że nie ma znaczenia, gdzie się człowiek znajduje w czasie nalotu. Bomba nigdy nie pada tam, gdzie się jej ktoś spodziewa. My, ludzie z miasta, wiedzieliśmy o tym z doświadczenia. Zresztą na dziesięć alarmów tylko jeden nie bywał fałszywy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa bom bardowania nie będzie. Tymczasem jednak odezwały się swoim monotonnym głosem puszczyków syreny. Poczułem zmęczenie, nie chciało mi się wracać do domu, ani też dalej chodzić po błoniach. Najchętniej położyłbym się gdzieś na ziemi i zasnął. Lecz Miriana żądała, by jej pokazać syreny. Wydawało się jej, że muszą być duże jak Zbor na cerkiew lub któryś z większych kominów fabrycznych, gdyż dźwięk ich jest tak przejmujący. Wytłumaczyłem, że to zwyczajne rury. Skąd więc to wycie? Dzięki zgęszczonemu powietrzu lub parze wodnej — powiedziałem. Zamilkła i potaknęła głową, jak by nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Gdy syreny alarmowe umilkły, zaniepokoiła się (teraz kolej na bombardowanie) i chciała wracać do domu. Przyznawałem jej rację, mając na uwadze odłamki, a jednak zwlekałem z powrotem.

„Na razie nie ma potrzeby. Nie widać samolotów"

„Proszę cię, chodźmy. Nana mnie skrzyczy."

Ująłem ją za ramiona, chciałem, aby robiła choć przez krótką chwilę, to czego ja pragnąłem.

„Zgoda, ale wpierw cię pocałuję!"

Prędko, interesownie, podsunęła czoło. Przywarłem twarzą do jej karku, zaprotestowała energicznie wobec czego, nie spiesząc się, pocałowałem ją w czółko. Poczułem tylko, że czoło jest twarde. Mimo wszystko byłem wygrany.

„Jesteś głupia" — oświadczyłem i pogładziłem po włosach. Między domami widać było uchodźców spieszących w kierunku najbliższej wsi. Zadałem Mirianie pytanie: gdzie też może być teraz mężczyzna w niebieskim kapeluszu? Była pewna, że stoi na wzgórzu nawet w czasie bombardowania. A może, tylko tak powiedziała, że jest tego pewna. Prosiła by się śpieszyć. Twierdziła wręcz, że słyszy warkot samolotów. Pozwoliłem jej iść przed sobą.

Rozejrzałem się po niebie. Było ogromne, niczego złego nie wróżyło. Wisząca nad naszymi głowami cisza — chwilami wydawała się złudna, chwilami martwa. Miriana szła tak prędko jakby jej było śpieszno kogoś zobaczyć. Jak to dobrze, że matka nie wybrała się dzisiaj do miasta, alarm mógłby ją zaskoczyć w centrum. Dopiero miałbym zmartwienie! Odkąd uciekliśmy tutaj, po pierwszym bombardowaniu, tylko dwa razy chodziłem do miasta, i to wieczorami, kiedy możliwość alarmu była najmniejsza. Wybierałem się tam po książki, których matka nie umiała znaleźć w bibliotece. Teraz choć widok przesłoniły miejscami domki, rzucało się w oczy, że łańcuch przechodniów wydłużył się, a jego ogniwa nawlekają się w przyśpieszonym tempie. Słychać było głośne nawoływania imion, co przejmowało grozą. Przypominało cmentarz. Kobieta w niebieskiej sukience, młoda kobieta, która dopiero co wyrzucała śmieci, wyszła przed furtkę i stanęła w taki sposób, że mogłem się o nią otrzeć przechodząc, wsparta pod boki obojętnie wołała:

„Dziordzie! Gdzie jesteś? Żebyś mi tu zaraz przyszedł! „Dziordzie! Dziordzie!!!"

Zastanawiało mnie dlaczego wypowiada to imię tak wyraźnie i z taką przesadą. Przechodząc, dotknąłem niechcąco wierzchem dłoni — jej sukienki. Wyczułem twardą krągłość guzika. Minąłem ją, jak gdyby nigdy nic. Najchętniej jednak wróciłbym, by z nią porozmawiać. Obejrzałem się: patrzyła w niebo, wciąż wsparta pod boki.

W innych ogródkach również spoglądano w niebo, w tym samym kierunku, jak gdyby naprawdę można było coś zobaczyć.

„Są!" „Są!" — odzywały się głosy.

„Gdzie są?" „Gdzie są?" — odpowiadały inne.

Wciąż jeszcze nic nie słyszałem i nie chciało mi się spoglądać do góry. Z ogródków niechętnie wracano do domów, by się tam ukryć. Miriana odwróciła się do mnie. Już otwierałem usta, by zwrócić jej uwagę na ludzką ciekawość w ostatnich czasach, lecz musiałbym ją zawołać, a ja na chwilę zapomniałem jej imienia. I wtedy nagle przypłynęło do mnie samo, jakby z gardła i zacząłem powtarzać je półgłosem: „Miriana, Miriana" — Skoncentrowałem całą uwagę na kolejności wypowiadanych sylab, która wydawała się zupełnie mimowolna i przypadkowa. W jednej chwili zgłoski te zatraciły wszelkie znaczenie, wszelki związek z jakimkolwiek pojęciem, przedmiotem obrazem... I słowo zaczęło się samo powtarzać wisząc mi nad głową — głupie i jajowate. Ir-jana, ir-jana, ir, mir.

W naszym ogrodzie stała Nana, tęga, w siwej sukni w kratę, trzymając na głowie białą miednicę.

„Cóż to macie na głowie, babciu?" — spytałem żartobliwie.

„Ih, dzieckoż ta od ty szrapnele, żeby nie poginąć, od przeciwlotniczej" — odpowiedziała.

„Widać coś?" — pytałem.

Nie odpowiedziała. Teraz i ja spojrzałem. Niebo było duże i niebieskie, jak duży, niebieski kapelusz. Też głupie porównania — pomyślałem.

Niecierpliwiłem się, bo samolotów nie było widać i nie wiedziałem co robić. Wówczas wpadło mi do głowy, że jestem chyba głodny. Wszedłem do kuchni. Za mną weszła Miriana.

„Jeść mi się chce" — powiedziałem.

„To jedz".

Wziąłem kawał słoniny i zacząłem krajać.

„Przyznaj się, że skłamałaś o tym człowieku w niebieskim kapeluszu!"

„Słuchaj — lecą" — wymówiła uroczyście podnosząc w górę ręce... Teraz i ja mogłem już odróżnić wyraźnie, równomierny, daleki warkot.

„Jeść mi się chce" — powtórzyłem.

„Mata ich! Mata! — wrzeszczała Nana. Jej głos wskazywał, że podeszła pod dom. Wypadliśmy na dwór i rzeczywiście zaraz udało nam się dostrzec bardzo wysoko nad Zemunem lecące samoloty.

„Jak gołębie" — zawołała Miriana.

Mnie raczej przypominały chmarę srebrnych rybek, tańczących tuż pod powierzchnią wody.

„Tak, jak gołębie" — potwierdziłem, ale naturalniej byłoby je porównać do ptaków. Choć ja odnosiłem wrażenie, że patrzę skądś jakby z dna ku górze, gdzie tuż pod powierzchnią migocą w słońcu ryby.

„Dziś bombardowania nie będzie, tylko przelot" — oświadczyła Nana.

„Nie wiadomo"

Wróciliśmy do kuchni. Babkę zostawiliśmy na dworze. Nie czułem już głodu. Miriana stała przy mnie, patrzyliśmy na siebie, nachyleni ku sobie. Wydało mi się, że chciałaby usiąść na łóżku, znów chwyciłem za słoninę jakbym miał ją krajać i wówczas nastąpił wstrząs: najpierw przez dotknięcie słoniny, poprzez stopy, uszy, usta, oczy aż po tępy ból głowy. Chciałem coś powiedzieć, lecz głos by mnie zdradził, zbyt mocno waliło mi serce. Drugi wstrząs przeszedł tą samą drogą, jakby ktoś potrącił mnie przechodząc. Wciąż jeszcze nie wypuszczałem słoniny z rąk. Byłem pewny, że ogłuchłem, nie rozróżniałem żadnego dźwięku, czułem tylko, że dom się zakołysał. Znów łupnie, pomyślałem usiłując otworzyć usta.

„Do domu! Prędko do domu" — usłyszałem dobiegający z zewnątrz głos babki.

Ponownie spojrzałem na Mirianę. Usiadła na łóżku, pochyliła głowę, zakrywając uszy piąstkami. Kolana zostawiła obnażone. Drżąc uklękłem na podłodze.

tłum. z serbskiego

KRYSTYNA KASZYŃSKA

# Generał DELLA ROVERE

Marcin Czerwiński w swojej interesującej książce „Lekcja włoska" przytacza zdanie niemieckiego psychoanalityka Ernsta Bernharda, dotyczące panującego w kulturze zachodnio-europejskiej mniemania na temat Włochów: „Włoch to człowiek, któremu nie można ufać, bez zasad, typ hiperseksualny, niezdyscyplinowany, zepsuty i sentymentalny". Uosobieniem zatem „Włocha prawdziwego" wydaje się być Bardone vel pułkownik Grimaldi vel generał Della Rovere. Podobnie, jak jego antagonista pułkownik Müller, jest wcieleniem honoru i zasad oficerskich, zimnej logiki, precyzyjnego intelektu, zdecydowanej woli. Czy film Rosselliniego „Generał Della Rovere" jest filmem o starciu tych dwóch przeciwstawnych postaw reprezentujących dwa przeciwstawne typy kulturowe? I tak i nie. Bo jest to przede wszystkim film niesłychanie bogaty znaczeniowo i w uważnym widzu budzić musi mnóstwo refleksji.

Istotnym bohaterem filmu jest czas wojny, widoczny w samym pejzażu miasta, szarym, bezbarwnym, chropawym, przygnębiającym, w ulicach po których przemykają się pośpiesznie pozbawione blasku sylwetki przechodniów. Wojna jest w kolorze nieba i murów i ludzkich twarzy. Ten czas wojny, który u Rosselliniego zachowuje wszelkie pozory codzienności, zwyczajności okazuje się także czasem próby. Próbie zostają poddani zarówno rzekomy generał Della Rovere jak i niemiecki pułkownik. Jakżeż zresztą nierówny podział ról... Niemiecki pułkownik, pan życia i śmierci wielu ludzi, „uczciwy żołnierz", człowiek z zasadami, który musi oszukiwać, torturować, mordować, nawet wbrew sobie. Jego wolność, swoboda decyzji działania jest pozorna. W trakcie rozwoju akcji staje się w coraz większej mierze niewolnikiem okoliczności, niewolnikiem swojej sytuacji niemieckiego oficera. Inaczej Bardone: bez skrupułów i kodeksu moralnego, ofiar własnych słabości i braku zasad, staje się stopniowo w naszych oczach człowiekiem wolnym. Przecząc własnej słabości i własnej sytuacji. Odbierając racje moralne przeciwnikowi, pokonując go wreszcie. Dla Müllera nie ma wolności wyboru o ile chce on nadal zostać wiernym powołaniu niemieckiego oficera. Rzekomy Della Rovere, wybierając śmierć, wybiera wolność, dokonuje pierwszego w swym życiu świadomego i odpowiedzialnego aktu wyboru. A więc wolność jako gest heroiczny, jako bunt przeciw własnej sytuacji, własnej ograniczoności. To byłby sens ostateczny filmu, sens patetyczny potwierdzony echem wystrzałów plutonu egzekucyjnego. Ostateczny, ale nie jedyny i, kto wie, może nawet nie najważniejszy. Bo jest to chyba także film o względności ocen i interpretacji ludzkiego postępowania, o względności tego co nazywamy bohaterstwem. Film bliski — nam — Polakom bo godzący w mitologię bohaterstwa. Choć i to nie jest takie proste, bo w ostateczności nasz antybohater dorasta do mitu, osiąga mit, staje się godny powszechnego wyobrażenia o bohaterze. Któż więc jest bohaterem, czymże jest bohaterstwo?

W swoim filmie podejmuje również Rossellini polemikę ze wspomnianym na wstępie, a bardzo rozpowszechnionym stereotypowym poglądem na temat Włochów. W oczach pułkownika Müllera, Bardone znakomicie ilustruje słuszność tego poglądu. Dlatego też traktuje go z wyższością, z pewną sympatią wprawdzie, ale nie bez odcienia pogardy, jako coś nierównego sobie, niepełnowartościowego. Pułkownikowi wydaje się, że zdołał wszystko przewidzieć, wszystkie reakcje (łącznie z oporami natury moralnej) swego przeciwnika, ale myli się. To co spontaniczne, żywiołowe, emocjonalne nie daje się przewidzieć ani obliczyć, kryje w sobie to co najgorsze i to co najlepsze. W tym jego wartość i tej wartości broni Rossellini, wartości czysto uczuciowej, anarchicznej rzec można. Byłby więc to film w jakimś sensie romantyczny w swojej apoteozie uczucia i buntowniczości (nawet schemat fabularny traci nieco Konradem Wallenrodem. Zbiega on się zresztą, mniej więcej, w czasie z falą tzw. neoreomantyzmu w filmie („Kochankowie", Malle, „Hiroszima moja miłość" Resnaisa).

Można by również zapytać czy Bardone staje się rzeczywiście na końcu bohaterem. I na to pytanie odpowiedź nie jest prosta, bo na materiale filmu daje się wcale nieźle dowieść, że całe życie będąc kabotynem, kiepskim, zgrywającym się ale i przeżywającym swoje role oszustem, Bardone pozostaje nim do końca. Grał pocieszyciela strapionych za cenę paru niezłych tysiączków, równie dobrze może odegrać rolę bohatera, odegrać do końca, tym razem heroicznie i patetycznie za cenę jedynego, autentycznego triumfu w swym życiu, zwycięstwa nad pułkownikiem Müllerem. A może ten człowiek bity i kopany przez los, pogardzany przez otoczenie, gdy nagle staje się kimś czczonym i uwielbianym nie chce z tego zrezygnować. Woli śmierć fizyczną od moralnej. Chce aby po nim pozostała jakaś „siła fatalna". Myślę, że w gruncie rzeczy jedno nie przeczy drugiemu. Della Rovere jest wszystkim po trosze. Wielkie zwycięstwo Rosselliniego jako realizatora polega właśnie na tym, że potrafił tak zbudować swój film i postać bohatera by uniknąć wszelkiej zabójczej, także i dla realizmu dzieła, jednoznaczności. Nawet świetna gra de Sici świetnie podkreśla tę wieloznaczność, to ciągłe oscylowanie między prawdą przeżycia, a kabotyńską pozą, między tym co bohater czuje, a co chce „wyrazić". Niezliczona ilość motywów i bodźców kieruje postępowaniem człowieka. Nigdy nie wiadomo, jak pisała kiedyś Maria Dąbrowska, które z nich mają charakter rzeczywiście decydujący i determinujący. W ostatecznym efekcie pozostają tylko czyny. A czyn „generała" Della Rovere jest czynem heroicznym według wszelkich zasad etyki heroicznej.

Formalnie „Generał Della Rovere" nawiązuje do pierwszych wielkich filmów Rosselliniego „Rzym miasto otwarte", „Paisa". Sposób opowiadania jest bardzo prosty, niemal kronikalny, Rossellini relacjonuje fakty, bardzo powściągliwie, unikając zbędnych komentarzy i efektów. W tym ujęciu wojna, więzienie, gestapo są czymś zupełnie zwyczajnym, normalną formą ludzkiego bytowania. I dzięki temu, dzięki swojej codzienności stają się szczególnie koszmarne. Zdjęcia mają również charakter surowy, dokumentalny. Niczego nie sugerują, nie podkreślają, pokazują po prostu życie. Ale powoli z szarzyzny powszedniości, okupacyjnej kroniki obyczajowej, w miarę rozwoju akcji filmu wyrasta ludzka historia przeobraża się stopniowo i podskórnie niemal w historię tragiczną. W tym poznajemy od razu lwi pazur mistrza neorealizmu. Znakomitym świadectwem metody Rosselliniego jest sekwencja nocy przed egzekucją. Bardzo ruchliwa kamera wędruje po wąskiej celi, nieustannie i nerwowo, jakby chcąc się wyrwać na zewnątrz, na swobodę i po drodze notuje ludzkie twarze, gesty, rozmowy, te ważne i te błahe, które w obliczu dramat patetyczny. Zwykła śmierci stają się równie ważne. Te gesty i twarze mijają się i nakładają na siebie. Mimo pozornego chaosu napięcie dramatyczne tej sekwencji wzrasta stale, w miarę jak więźniowie zaczynają uświadamiać sobie los jaki ich czeka i w miarę jak ważą się decyzje „generała". Bardzo dobra jest również sekwencja alarmu w więzieniu, w czasie którego nasz biedny oszust musi po raz pierwszy wziąć na swoje barki ciężar bycia bohaterem. I natychmiast nasuwa się myśl, a może „Generał Della Rovere" jest filmem o niedogodności i znaczeniu bycia bohaterem. Dzieło Rosselliniego przypomina wielki bochen chleba, z którego każdy może odkroić sobie dowolnej grubości i dowolnego kształtu kromkę. Można doszukiwać się w nim różnych znaczeń i przyklejać mu rozmaite etykietki. I wszystkie nawet te sprzeczne ze sobą, będą w jakiejś mierze prawdziwe. I na tym polega, powtarzam raz jeszcze, wartość tego filmu, na tym, że znaczy on tak wiele, iż trudno pomieścić to w jednym lub kilku „ogólnych" sensach. „Generał Della Rovere" jest rzuconym na ekran kawałem życia, które zachowało całą swą pełnię i bogactwo.

Maria Kornatowska

Zsa Zsa Gabor znów wzmocniła swoją pozycję „najbardziej skandalicznej aktorki Hollywood". Tym razem chyba niechcący. Mianowicie późną nocą, po wielkim raucie, wydanym w swojej willi, chowała właśnie swoją biżuterię do kasy pancernej, kiedy ni stąd ni zowąd złożył jej wizytę energiczny policjant. Na protesty roznegliżowanej damy odrzekł flegmatycznie „Instalacja alarmowa działa"... Zsa Zsa zapomniała wyłączyć instalację przed otwarciem kasy. „Nie potrzebuję wcale grać, i tak jestem sławna" — oto dumne zdanie, którym piękna starsza pani pokwitowała całe wydarzenie.

* * *

Czerwiec jest w Hollywood miesiącem wzmożonego rozbierania się. Rozpoczęła serię Shirley MacLaine w filmie „Johnie Goldfarb idź do domu". Shirley gra w tym filmie rolę dziennikarki, która dla reportażu z haremu króla arabskiego godzi się na wykonanie przed nim tańca brzucha. Gina Lollobrigida występuje z Rockiem Hudsonem w filmie o wymownym tytule: „Dziwni towarzysze łóżka" — przez długie sekwencje ma okazję demonstrować piękne kształty i negliże. Najbardziej śmiała jest Mamie Van Doren, pozująca zarazem na Mae West i Jayne Mansfield — w filmie „3 Nuts in Search of a Bolt" wykonuje po mistrzowsku szereg strip-teasów.

* * *

Wszystko wskazuje na to że Jean Paul Belmondo będzie partnerem najsławniejszej debiutantki świata: Geraldiny Chaplin. Może to nastąpić z okazji realizacji filmu „Piękny letni poranek". Geraldine Chaplin gralaby w nim rolę bogatej dziedziczki, która zakochuje się we włóczędze.

* * *

Fran Capra, jeden z niezapomnianych „wielkich" Hollywoodu, wraca do czynnej pracy nad filmem zatytułowanym „Marooned". Będzie to film o astronautach, którzy nie mogą wrócić ze stratosfery.

Inne powroty: Buster Keaton zagra w skeczu a la Mack Sennet, w filmie poświęconym pięćdziesięcioleciu pierwszych filmów tego nieodżałowanego pioniera komedii filmowej. Tytuł „Hollywood Palace". Film ten produkuje telewizja, a wystąpi w nim także i Gloria Swanson.

* * *

Czas odwraca role. Barbara Stanwyck była niegdyś zazdrosna o wiek swojego młodego i pięknego męża, Roberta Taylora. Obecnie, gdy pokazali się razem w filmie „The Night Walker", Barbara ukazała się niezmieniona: gładka twarz, włosy platynowe, talia lilii. A Robert konserwuje się niestety, dużo gorzej, wygląda dużo starzej od swojej żony.

* * *

W kolejnych filmach Bette Dawis i Joan Crawford biją się ze sobą bezlitośnie. W filmie „Co się zdarzyło Baby Jane" Bette zbiła Joan, obecnie, w filmie „Co się stało z kuzynką Charlotta" Joan Crawford policzkuje Bette Dawis. Ale Bette zapowiada film rewanżowy.

## DOBRY ŻART DOLARA, RUBLA, FUNTA, FRANKA WART

*W procesie tworzenia aktu przez artystę jest coś, co nas zawsze ciekawi. A zatem proszę bardzo. Atelier malarza otwarte.*

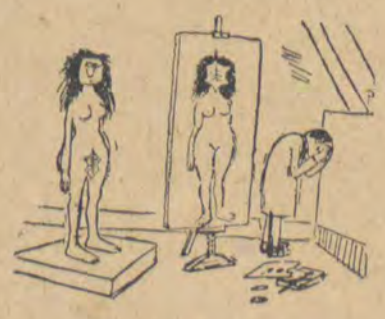

*Brzydka modelka*

*Bez słów*

*Bez słów*

*Akt podwójny*

# Ogórki w teatrach łódzkich

## Z ŁEZKĄ

Letnia kanikuła rozgrzesza dyrekcje teatrów z ich ambicji repertuarowych, z obowiązku „dzierżenia" wysoko sztandaru opinii, coraz któryś sztandar pada z hukiem (dla kasy, panie, dla kasy). Na głowy zadręczonych upałem mieszczuchów sypią się sztuczki, komedyjki i wodewile, stare — ale żebyż to chociaż jare! A mieszczuchy i tak wolą zieloną trawkę. Tylko w deszczowe dni rechocze publika na niezawsze wybrednych chałturach, godnych prywatnych findesieclowych teatrzyków i to objazdowych. Doświadczeni ludzie teatrów (a czasem po prostu ludzie z teatralnym nosem) inaczej sobie poczynali: taki Wilam Horzyca dawał na lato systemem „wielkiego uderzenia" — „Sen nocy letniej" Szekspira i — wygrywał. A skądinąd znany nam wszystkim Ludwik Benoit też sobie za swojej dyrekcji szczecińskiej przygrał „Skowronka" Anouilha i — kasa mu puchła.

Teatr Jaracza również okazał — można powiedzieć — niezgorszy teatralny nos. Zdawałoby się zrezygnował na kanikułę z dorosłej widowni i założył sieci na „młode pokolenie" — zagrał „Anię z Zielonego Wzgórza" — słupek milowy dziecięcej literatury światowej. I żeby wychowywać dzieci na dobrym teatrze — do scenografii zaprosił samego Jana Marcina Szancera i do obsady też nie pożałował aktorów — zobaczcie jak się w roli p. Małgorzaty Linde komicznie puszy p. Małkowska, a także jak marudnie mamrocze p. Przybylski — jako podobno milczący Mateusz, dobrze że chociaż przy tym charakterystyczno-komiczny w rysunku postaci. I kto wypełnia widownię? Otóż na tę sentymentalną sztuczkę chodzą z dziećmi dorośli, gwałtownie udając ich opiekunów, a cichaczem wycierając kapki z oczu i sznupiąc nosami. Czy płaczą wzruszeni losem biednej sierotki Ani (dobra w ruchu, w geście, ale trochę bezkoncepcyjna, jeżeli chodzi o tekst, za bardzo relacjonująca go — Darlakówna; bardziej wyrazista, ale monotonna w ostrych reakcjach Mirowska), czy przemawia do serc publiczności ciepło promieniujące spod pozornej surowości p. p. Wilczyńskiej i Pilarskiej (Maryla Cuthbert), czy niedorajdowatego (drugiego) Mateusza o złotym sercu (p. Nowicki), czy widok przyjaźni na śmierć i życie, przyjaźni Ani z Dianą (przeurocza Krawczykówna, świetna scena pijaństwa), czy miłość bohaterki do rodzinnego gniazda, rzeczki i górki? He, he, a może w pamięci staruchów, pochlipujących na widowni, odzywa się tęskna nutka: „Gdy wieczorem siedzę sam, wtedy w wyobraźni stają widma dawnych lat szczęścia i przyjaźni?" Było się młodym, dobrodziejko, było...

A dzieciarnia? Siedzę z jedenastoletnim dżentelmenem po lewej i dwiema pączkującymi trzynastolatkami po prawej ręce. Dżentelmen ma minę znudzoną, ale zapytany, jak mu się podoba, powiada z uśmiechem. „O, to bardzo ładne, nawet lepsze od Sienkiewicza, bo tam stoi i stoi ten pan przy mapie i tyle opowiada, a tu tyle obrazów i takie kolorowe i wciąż jest co innego. Wie pani, mnie też nazywają w szkole Marchewka, ale ja się nie martwię, mamusia mówi, że teraz rude włosy są modne, sama nosi też rude. Inne czasy, proszę pani". Dwie ...nastolatki śledzą światło reflektora, które przed każdym obrazem oświetla wewnętrzną kurtynę, namalowaną przez p. Szancera w piękne ilustracje. Te ilustracje zapowiadają dalszy ciąg akcji. Nastolatki wzdychają: „A kiedy będzie wreszcie Gilbert, dlaczego nie ma Gilberta, przecież nie może nie być Gilberta". Racja, nie może nie być Gilberta w życiu ...nastolatek. I w końcu na jedną króciutką chwilę ukazuje się ukochany Marchewki. I jest taki ładny i taki skromny ten pan Maciej Małek, zupełnie nie jak nasze współczesne chuligany. I nic nie mówi, bo mu adaptator powieści Lucy Maud Montgomery, czyli p. Andrzej Konic nie dał ani słowa tekstu, ale za to jak ten Gilbert patrzy na Anię! O, dawno zginęła taka sztuka patrzenia!

Miła ta staroświecka, sprawnie zrobiona (reż. Janusz Kłosiński), najwnie, a szlachetnie dydaktyczna bajka, bajka pod łezkę i rzewny uśmieszek. A chytra! Pomyślcie — dwa komplety dziennie. Czy to nie złote jajko?

**WANDA KARCZEWSKA**

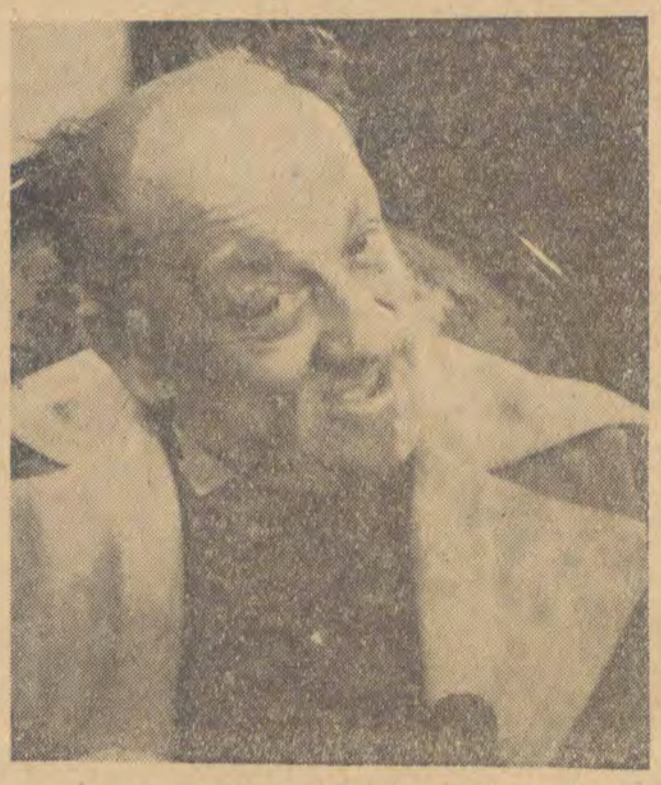

*Stanisław Łapiński w „Wicku i Wacku"*
*Foto: A. Brustman*

## Z NAFTALINĄ

Ech, zaśpiewać by się chciało: „Dwóch synów miał tata pan Łapiński z Nowego, czy też państwo widzieli coś podobnie..." — rym pozostawiam do wyboru Czytelnikowi.

Ze sceny wiało naftaliną. Z werwą hasali panowie Józefowicz i Zatorski — jeździli po jarmarkach, jeden z nich się zakochał i oczywiście perypetie... Że w miłości i na scenie są one nieodzowne — wiedział dobrze p. Zygmunt Przybylski, który rzecz całą w roku 1903 do śmiechu — że boki zrywać — opisał.

Gdzież, ach, gdzież są nie gdysiejsze śniegi, szlacheckosąsiedzkie korowody, tartaki, jarmarki i, panie dzieju, rubelki. Wzruszyłem się, łezkę jedną uroniłem w czasie antraktu i w czasie dwu pierwszych aktów, kiedy było trochę nudno. Publiczność się bawiła — na zdrowie. Mnie staremu, który pamięta czasy preferków po sąsiedzkich dworach — smutno było. Na scenie drapichrust p. Faust (dlaczego Faust?) tartak chce budować, z wekslami robi kombinacje jakoweś. W końcu całe to miłe towarzystwo zaczyna wyprzedaż czynić. A to las, a to folwark, aby tylko pana Żymalskiego z opresji wyciągnąć.

Farsę p. Przybylskiego grano za moich czasów w ogródkowych teatrzykach, gdzie Melpomena i piwo w komitywie najlepszej przy jednym stoliku... Z aktorów nikt tych czasów nie pamięta poza jednym p. Łapińskim. A propos p. Łapińskiego. Dawno kiedyś — chyba przed pierwszą wojną — widywałem jak to znakomitych aktorów, dyrekcja obsadzała w słabych sztukach. Dziś się to nie zdarza zbyt często. Dyrekcja Teatru Nowego przypomniała mi o tych dawnych czasach, które tak dobrze pamiętam.

**JACEK BRYG-BRYCZEWSKI**

**Teatr Nowy. „Wicek i Wacek" Z. Przybylskiego.**

## Z MYSZKĄ

Służąca poprawiająca łacińskie klasówki uczniów swego chlebodawcy: jegomość wplatający w rozmowę pogróżki pod adresem własnej wątroby; dyrektor wędrownej trupy teatralnej zdolny wystawić „Wilhelma Tella" bez tytułowej postaci; młoda mężatka podejrzewająca, że jej bogu ducha winien mąż był w kawalerskich czasach wyjątkowym rozpustnikiem; profesor-pantoflarz, który marzy o laurach autora dramatycznego — te wszystkie postaci tracą myszką. Myszką także trąci zgoła niefrasobliwa konstrukcja tej farsy, której autor wcale nie troszczy się o rozwiązanie niesłychanie zagmatwanej sytuacji lecz w momencie szczytowego spiętrzenia niejasności każe aktorom wziąć się za ręce i śpiewać pogodne kupiety, kończąc nimi przedstawienie. Myszką to wszystko — jak się rzekło — trąci i z naszymi doświadczeniami powszednimi i teatralnymi mija się bardzo wyraźnie. A przecież widownia Teatru „7.15" oglądając „Porwanie Sabinek" bawi się znakomicie i zaśmiewa raz po raz.

Patrząc na to, co działo się na maleńkiej scence, próbowałem uświadomić sobie, czemu to ta wiekowa farsa spotyka się z tak żywym przyjęciem. Na pewno wiele jest w tym zasługi reżysera Danuty Baduszkowej, z kulturą, poczuciem humoru i w dobrym tempie prowadzącej przedstawienie; na pewno niemała część sukcesu przypada w udziale aktorom ze Zbigniewem Jabłońskim i Stanisławem M. Kamińskim na czele; uroki tuwimowskiego dowcipu i wyczucia sceny mają tak że decydujące dla widzów znaczenie. Myślę jednak, że nie należy pominąć milczeniem tego, który pierwszy dał asumpt dla całej zabawy — Pawła Schönthana, autora farsy, którą Tuwim wziął na swój niezawodny warsztat adaptacyjny. Godny on jest — ów Schönthan — życzliwego wspomnienia nie tyle jako indywidualność ale przede wszystkim jako typ. Typ autora, który nie uważał za rzecz niegodną dostarczyć ludziom okazji do beztroskiego śmiechu. Dziś śmiech beztroski jest na ogół w pogardzie u komediopisarzy, którzy podobnie jak wspomniany przez Boya profesor Feldman — uznają przede wszystkim „śmiech krwawy". A ludzie chcą się czasem pośmiać zwyczajnie, po prostu. Szczególnie wówczas gdy na dworze upał i duchota.

W salce na pierwszym piętrze gmachu Grand-Hotelu można znaleźć dobre odprężenie. Ta scena zresztą temu właśnie ma służyć.

**EDWARD SZUSTER**

*Izabella Pieńkowska i Andrzej Jędrzejewski w „Porwaniu Sabinek".*

## Półka z książkami

**BURZANY**

Z postacią Maksa, z legendą o Maksie spotykało się wielu Polaków, którzy w latach wojny obracali się między Styrem, a Horyniem, między Kowlem, a Sarnami. To był rejon działania legendarnej brygady partyzanckiej Maksa — dziś generała Wojska Polskiego, Józefa Sobiesiaka. Ale z Maksem można się spotkać również na stronicach książek. Pisał o nim szef wywiadu w partyzanckim zgrupowaniu generała Kowpaka — zmarły niedawno generał Piotr Werszyhora. Pisał także Putrament. Najciekawiej jednak o swojej partyzanckiej epopei napisał sam bohater legendy. Parę lat temu Józef Sobiesiak dał czytelnikom książkę pt. „Ziemia płonie" — ostatnio MON wznowił „Burzany" — dalsze dzieje polsko-radzieckiego oddziału Maksa.

Przedziwna to była partyzantka, działająca na ziemiach, gdzie pragnienia samostijnej Ukrainy przybierały formę rzezi Polaków, gdzie obok Wehrmachtu wrogiem, o ileż bardziej niebezpiecznym bo znającym teren, były oddziały zielonych spod znaku tryzuba. Józef Sobiesiak miał okazję tam właśnie przeżyć swoją burzliwą i pełną niebezpieczeństw wojnę. Wojnę obfitującą w zabawne spięcia i humorystyczne zdarzenia i wojnę pełną tragizmu i okrucieństwa, śmierci przyjaciół i trudnych decyzji.

Obok „Barw walki" i „Boju o Wietlinę", obok kilku innych ciekawych pozycji tego kręgu tematycznego — na półce literackich dokumentów historii postawić możemy oba tomy epopei generała Józefa Sobiesiaka — Maksa z lasów koszyrskich.

**Józef Sobiesiak, Ryszard Jegorow, „Burzany" MON 1964. J.W.**

**OSTATNIA POWIEŚĆ PIĘTAKA**

„Odmieniec" jest ostatnią powieścią Stanisława Piętaka, wydaną pośmiertnie. Akcja jej dzieje się współcześnie częścią w stolicy, częścią w okolicach Tarnobrzegu, który w utworze nazwany jest Tarnomyślem. Jest to próba powieści współczesnej. Piszę: próba, gdyż proza Piętaka nie stanowi rozbudowanego dostatecznie szeroko materiału. Jest to mikro-powieść lub szkic powieściowy, rodzaje tak modne ostatnio i chętnie przez pisarzy realizowane. Mimo, iż nie ma w tej powieści ostrych spięć i narysowanych wyraziście konfliktów, utajony nurt książki posiada wewnętrzną dramatyczność, która tu i ówdzie dochodzi do głosu. Jeden z bohaterów powieści, Duszalik, mówi w pewnej chwili: „Chłop prawdziwy niechby siadł obok inteligenta, przegrany szlachcic obok nowego działacza, ksiądz i Żyd obok niedawnego więźnia. Wszyscy, wszyscy, jak kiedyś w nieśmiertelnym dramacie Stanisława Wyspiańskiego, i kochajmy się, szanujmy, myślmy nareszcie spokojnie o tej naszej nowej Polsce".

Ktoś nazwałby to, być może, jakąś nową ideą solidaryzmu społecznego. Sądzę, że kryje się w tym sens głębszy i prostszy zarazem. Temu krajowi, rozdzieranemu przez wojny, waśnie i wewnętrzną niezgodę, najbardziej potrzebny jest spokój i czas dojrzałego namysłu i działania. Fakt, że jest to ostatnia powieść Piętaka, ma niejako podwójną wymowę. Wnosi ona dodatkowy akcent do obfitej twórczości zmarłego tragicznie pisarza.

**Stanisław Piętak: „Odmieniec", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1964, str. 163. J. K.**

**NIEMY**

Otto F. Walter jest aktualnie autorem dwu powieści. PIW udostępnił nam właśnie książkowy debiut szwajcarskiego autora w dobrym przekładzie Eddy Werfel. Walterowi (ur. w 1928 r.) udało się od razu przeskoczyć granice swego wieku: powieść „Niemy" jest dokonaniem artystycznym dużej wagi. Zdaje się, że literaturze szwajcarskiej przybywa obok Dürrenmatta i Frischa jeszcze jeden pisarz europejski.

Lothar Ferro nie przyszedł na świat jako niemy i nie pozostał niemym do ostatnich kart powieści. Najpierw dlatego, że wreszcie przemówił językiem zrozumiałym dla wszystkich — zabija. Powtóre, ponieważ siła tego przeżycia przywróciła mu głos, podobnie jak przed laty scena okrucieństwa odebrała mu mowę. Między tymi zdarzeniami rozpięte jest dzieciństwo Lotha, z którego tak niespodziewanie wkroczył w wiek męski.

Książka posiada dwie warstwy: analizy psychologicznej i opisową podporządkowaną pierwszej. Odpowiada to w jakimś stopniu strukturze psychicznej, niemego, którego więzy ze światem zewnętrznym są jednokierunkowe. Patrzy i słucha, a chociaż ma wiele do powiedzenia, gardło pozostaje zaciśnięte. W warstwie opisowej poznajemy życie dwunastu robotników budowlanych rzuconych do prac przy przebijaniu drogi w górach. Występują kolejno imionami w osobnych rozdziałach jak świadkowie. Do Lothara należą noce rozmyślań.

**Otto F. Walter „Niemy" Państwowy Instytut Wydawniczy 1964 str. 229. K. F.**

EDWARD SZUSTER

# ZMAGANIA Z AUTOREM

Jestem przekonany, że Roman Sykała, przeżył w trakcie pracy nad sztuką Irwina Shaw nie jedną rozterkę i chwilę zwątpienia. Nie jest łatwo zrobić dobre przedstawienie ze słabej sztuki — „Zamach" do wybitnych dzieł dramatycznych nia należy — ale zarówno historia jak i dzień dzisiejszy teatru świadczą iż jest to możliwe. Ze słabych, przeciętnych sztuk powstają interesujące przedstawienia wówczas gdy sprawy przedstawiane na scenie bliskie są doświadczeniom widowni lub też gdy materia sztuki pozwala to zainteresowanie narzucić poprzez intrygującą fabułę lub ciekawe kreacje aktorskie.

Wydarzenia jakie rozegrały się w Algierze w ostatnich miesiacach 1942 roku nie są — same przez się — dla współczesnego widza polskiego szczególnie atrakcyjne. Ten dość zagadkowy epizod stosunków francusko-amerykańskich pamiętają — i to piąte przez dziesiąte — ludzie powyżej czterdziestki i chyba nie pasjonują się tymi wspomnieniami. Sztuka Irwina Shaw nie ma więc szans zafrapowania widowni samą swą tematyką; elementów fascynacji należy zatem szukać albo w treści opowiadanej scenicznym językiem historii albo też w sposobie jej opowiedzenia.

Fakt, że dwadzieścia parę lat temu, w dalekiej Afryce Północnej Amerykanie po wylądowaniu zostawili władzę w rękach człowieka, który dotychczas zwalczał antyniemieckie, proalianckie dążenia i wysiłki części Francuzów nie jest już dla nas wyjątkowy. Szczególnie ostatnie lata dostarczyły nam sporo wiedzy o prawdzie „wyzwoleńczych" poczynań amerykańskich. Dramatyczne natomiast i na pewno godne uwagi pisarza były przeżycia ludzi, którzy stwierdzili, że ci, od których oczekiwali wyzwolenia od znienawidzonej władzy — władzę tę uznali, że prześladowani są za to iż pomagali chwilę tego wyzwolenia przybliżyć, że wyzwolenie nie jest wyzwoleniem. W tej sytuacji jest na pewno materiał na pasjonujący dramat; niestety Irwin Shaw uniknął podjęcia głównego konfliktu. W jego ujęciu antagonistami są: faszyzujący admirał francuski i uczestnicy francuskiego ruchu oporu. Ci ostatni zdumiewają się niepomiernie widząc, że faszyzujący admirał nie zmienił swej postawy z chwilą gdy w Algierze wylądowali Amerykanie. Nawet komuniści przeżywają u Shawa podobnie naiwne zdumienia. Nic dziwnego więc, że na widok tych naiwności nasze zainteresowanie całą historią słabnie; nie bardzo lubimy być nabijani w butelkę, nie wierzymy — na przykład — w istnienie takich sierżantów francuskich wojsk kolonialnych, którzy nawet nie wiedzą o tym, że poprzedniego dnia zabity został ich najwyższy zwierzchnik.

Może jednak wszystkie te niedostatki tematu i fabuły sztuki można przezwyciężyć dzięki czysto teatralnym jej walorom? Myślę, że i tu Roman Sykała miał kłopotów niemało. Obsada „Zamachu" składa się z 29 ról ale — na dobrą sprawę — ciekawszych zdań aktorskich jest tu bardzo niewiele. Wśród tych 29 ról co najmniej 22 to postacie mniej czy więcej epizodyczne, o których widz dowiaduje się bardzo niewiele, a czasem w ogóle nie wie, co one w sztuce robią. Zdecydowana większość pozostałych ról to role ludzi już uformowanych, takich, którzy — oczywiście — reagują na wydarzenia zewnętrzne, na zmiany sytuacji ale nie przetwarzają się wewnętrznie. Jedyna ciekawsza rola — Robert de Mauny, beztroski młodzieniec, który decyduje się zastrzelić admirała i płaci za ten czyn życiem — także nie jest zbyt klarowna gdyż nie wiadomo właściwie dlaczego Robert zrobił to co zrobił. Marian Gamski tej tajemnicy nie był w stanie wyjaśnić i nic dziwnego. Pozostał w mojej pamięci pełnym wdzięku młodym trzpiotem, który nagle i niespodziewanie przeobraża się w ostatniej scenie w cierpiącego za miliony bohatera romantycznego. Tak bowiem chciał autor. Nie wiem natomiast czy autor chciał abyśmy uwierzyli, że są na świecie ludzie, których ideałem jest osiągnięcie — z pełną świadomością — szczytów łajdactwa. Tadeusz Sabara w roli Wiktora Malassis starał się udowodnić, że tacy ludzie są — ja mu jednak nie uwierzyłem. Jakby nie było materiał, jaki autor dawał do ręki aktorom, także nie ułatwiał reżyserowi pracy.

W takiej sytuacji jedynym co pozostało w walce o atrakcyjność przedstawienia było tempo, zmiany nastrojów, staranny rysunek postaci, uroki dekoracji, wydobycie z każdej sytuacji maksimum napięcia. W tym zakresie Roman Sykała okazał się zwycięzcą, a wszyscy aktorzy pomagali mu solidarnie i uczciwie. Przedstawienie jest sprawne, wartkie, plastycznie efektowne. Czy to wszystko pozwoliło zainteresować widownię sztuką Irwina Shaw, czy dobra robota teatru uszlachetniła mierne tworzywo? Liczby zamieszczone w poprzednich numerach „Odgłosów" (patrz „Spektakle tygodnia") nie dają na to pytanie odpowiedzi twierdzącej.

## SPEKTAKLE tygodnia

**FILM**

POLONIA — „Generał Della Rovere"
25 seansów . . . . . 5 382 widzów

WŁÓKNIARZ — „Żona dla Australijczyka"
15 seansów . . . . . 5 019 widzów

**TEATR**

NOWY — „Wicek i Wacek"
5 spektakli . . . . . 1 250 — 37%

„Marie Octobre"
1 spektakl . . . . . 300 — 40%

NOWY — „Garść piasku"
Mała Sala 5 spektakli . . . . 500 — 50%

„Czerwona magia"
1 spektakl . . . . . 100 — 50%

7.15 — „Porwanie Sabinek"
6 spektakli . . . . . 1 830 — 60%

POWSZECHNY — „Romeo i Julia"
2 spektakle . . . . . 600 — 50%

JARACZA — „Ania z Zielonego Wzgórza"
1 spektakl . . . . . 653 — 92%

OPERETKA — „Ptasznik z Tyrolu"
6 spektakli . . . . . 3 068 — 73%

OPERA — „Damy i huzary"
1 spektakl . . . . . 302 — 50%

ESTRADA: — Białoruski zespół pieśni i tańca . . . . . 1 500 — 15%

**Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.**

# Berta Suttner

21 czerwca 1914 roku, na tydzień przed pamiętnym zamachem na księcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie, zmarła w Wiedniu, mając 71 lat, Berta Suttner. Ta głośna w swoim czasie a dziś kompletnie zapomniana pisarka i działaczka, której życie było barwną i ciekawą powieścią, zasłużyła sobie na to, by w pół wieku po jej śmierci, przypomnieć ją dzisiejszej publiczności. Ostatnie dziesięciolecie wieku dziewiętnastego i pierwsze wieku dwudziestego zapisało imię Berty Suttner na kartach historii nie tylko wydanymi powieściami i pismami publicystycznymi, ale także niezmożoną działalnością pokojową. Arystokratka z pochodzenia, córka feldmarszałka austriackiego grafa Kinsky'ego, urodzona 9 czerwca 1843 roku w Pradze, całym swoim późniejszym życiem zaprzeczyła wyniesionej z domu tradycji, wychowaniu i poglądom swojego środowiska. Piękna, wykształcona, znająca świetnie kilka języków, była ona ozdobą życia towarzyskiego Wiednia. Kiedy zmarł jej ojciec i fortuna poczęła się wyczerpywać, trzydziestoletnia Berta Kinsky, zdecydowała się przyjąć posadę nauczycielki i wychowawczyni trzech córek barona Suttnera. Ale oprócz córek w domu tym był 23-letni syn, Artur Suttner, przygotowujący się właśnie do egzaminu uniwersyteckiego z zakresu prawa. Spodobali się sobie oboje. Berta Kinsky zapisze w swoim pamiętniku: „Miał w sobie magnetyczną siłę, której nie można się było oprzeć. W pokoju robiło się jaśniej, gdy do niego wchodził". Potajemna miłość trwała trzy lata. Rodzice Artura zorientowawszy się, dość późno zresztą, o co chodzi, wymówili Bercie posadę i wówczas stanęła ona przed problemem, co robić. Wtedy wpadła jej w ręce gazeta paryska z anonsem, że starszy pan poszukuje sekretarki. Napisała pod wskazany adres. Okazało się, że tym starszym panem był Alfred Nobel, szwedzki „król dynamitu", późniejszy fundator wielkich nagród międzynarodowych. Gdy znalazła się w Paryżu i podjęła pracę u Alfreda Nobla, nie przestała nękać ją tęsknota. Opowiedziała wszystko swojemu nowemu chlebodawcy. Radził jej zerwać z przeszłością i o wszystkim zapomnieć. Nie było to łatwe, zwłaszcza, że Berta utrzymywała kontakt z córkami barona Suttnera, które donosiły jej o wszystkim. Pewnego razu, gdy Nobel wyjechał w ważnych sprawach do Sztokholmu, przyszedł do Berty telegram od Artura z Wiednia, nawołujący ją do powrotu. Sprzedała wartościowy krzyżyk z diamentami, napisała pożegnalny list do Sztokholmu i wyjechała. 12 czerwca 1876 roku odbył się potajemnie ślub Berty Kinsky z Arturem Suttnerem i oboje małżonkowie wyjechali na Kaukaz, do znajomej księżny Mingrelien, gdzie spędzili lato, a następnie przenieśli się do Kutaisi i Tyflisu. Ogółem przebyli tam dziewięć lat, w czasie których oboje zaczęli pisać. Początkowo korespondencje do gazet austriackich, a później nowele i opowiadania. Redakcje drukowały te rzeczy i przesyłały honoraria, dzięki czemu mogli żyć bez uciekania się do cudzej pomocy. O latach tych napisze Berta Suttner: „Pobyt na Kaukazie uczynił z nas całkiem nowych ludzi".

Do Wiednia powrócili w maju 1885 roku. Rodzice Artura zdążyli już wszystko przeboleć i zaofiarowali im mieszkanie w swojej posiadłości na terenie Dolnej Austrii. Berta Suttner pisze wówczas jedną ze swoich pierwszych książek, pt. „Epoka maszyn", która jest próbą spojrzenia na wiek dziewiętnasty z perspektywy lat przyszłych. Jednocześnie biorą oboje udział w berlińskim kongresie pisarzy, budząc zainteresowanie znanymi już dziejami swojego życia. Lata 1886—1887 spędzają w Paryżu, gdzie Berta Suttner spotyka się z Alfredem Noblem, z którym aż do jego śmierci będzie wymieniać listy. Poznają również Alfonsa Daudeta i Ernesta Renana. Wiadomość o tym, że w Londynie powstała organizacja pokojowa, mająca za cel rozwiązywanie wszelkich konfliktów i sporów międzypaństwowych bez użycia siły zbrojnej, zrodzi w Bercie Suttner postanowienie przyjścia z pomocą tej organizacji przez napisanie odpowiedniego dzieła. Tak powstała powieść „Die Waffen nieder!" (Precz z orężem), głośna na cały świat, tłumaczona na wszystkie ważniejsze języki, również na język polski (opublikowana w „Bibliotece Dzieł Wyborowych" w przekładzie Włodzimierza Trąmpczyńskiego). — Jest to rok 1889. „Precz z orężem" ma ogromne powodzenie, w ciągu paru lat osiąga zawrotne nakłady zarówno w Austrii, Niemczech jak i w innych krajach. Książka ta staje się inspiracją do zakładania towarzystw, poświęconych obronie pokoju. W r. 1891 powstaje takie towarzystwo w Wiedniu, które Bertę Suttner obiera na swego przewodniczącego. Międzynarodowe Biuro Pokoju w Bernie szwajcarskim wybiera ją na wiceprzewodniczącą. W rok później na ogólnoświatowym kongresie w tymże Bernie jest jedyną kobietą, która uczestniczy w obradach i wygłasza porywające przemówienie. Koresponduje z Tołstojem, Björnsonem, Roseggerem, Noblem i innymi osobistościami tamtego czasu. Bierze czynny udział we wszystkich późniejszych kongresach pokojowych w Antwerpii, Hadze, Budapeszcie, Hamburgu, Paryżu, Monaco, Rouen, Bostonie i Lucernie.

10 grudnia 1896 roku umiera Alfred Nobel w swojej willi w San Remo. W parę dni później gazety doniosły, że olbrzymią fortunę zmarły przeznaczył na cele dobroczynne, między innymi — pod wpływem Berty Suttner — na ustanowienie międzynarodowych nagród za prace literackie, naukowe i działalność na rzecz pokoju. Również w dniu 10 grudnia, ale w sześć lat później (1902) umiera Artur Suttner, autor wielu powieści i zbiorów nowel, wśród których szczególnym powodzeniem cieszyły się „Nowele kaukaskie", wydane w 1884 roku. Berta nie zaprzestaje ani pracy pisarskej, ani swej działalności. W czasie podróży po Ameryce, spotyka się z ówczesnym prezydentem Stanów Zjednoczonych — Theodorem Rooseveltem. Przez sześć lat (1894—1900) wydaje miesięcznik „Precz z orężem", poświecony sprawom walki z militaryzmem i wojną. W roku 1905 przyznano po raz pierwszy nagrodę pokojową Nobla. Otrzymała ją, jak to było do przewidzenia, Berta Suttner. Trudno sobie wyobrazić godniejszego kandydata do tej nagrody. Jeśli zważyć, czas, w którym przyszło działać Bercie Suttner, nie można nie zdumiewać się nad jej bezkompromisowością i odwagą. I choć zbladły jej pisma publicystyczne, jej powieści i opowiadania — postać jej jaśnieć będzie wciąż niezwykłym blaskiem.

Jan Koprowski

# Notatnik kulturalny

22—28. VI. 64. R.

**PONIEDZIAŁEK**

Linoryt jest na pozór prostą techniką graficzną. W arkuszu linoleum artysta wycina nożem „to co niepotrzebne". Tak powstaje negatyw. Prawie 30 linorytów wisi w salonie wystawowym BWA (Piotrkowska 102). Chodzę wzdłuż ścian — niestety bez katalogu (BWA wciąż zapomina wysyłać redakcjom katalogi) — i myślę, że Henryk Płóciennik nie ułatwia sobie zadania. Koneserzy widzą w tych pracach wpływy Panka i Gielniaka. A ja sądzę, że Płóciennik dochodzi w swojej grafice do własnej, przez siebie wypracowanej drogi. Nie widzę tu maniery Panka ani Gielniaka, nie widzę maniery „pod drzeworyt" — widzę ostrą, bardzo trudną kreskę, widzę bardzo ładną grafikę, ale nie jest to tania ładność. Wiem dobrze, że nie rzucą się ludzie, aby grafikę Płóciennika kupować, choć są tu plaże, pejzaże i szybowce nad szachownicą pól. Ale nie ma banału — a my jakże często żądamy banału w imię sztuki, która banału nie znosi.

**WTOREK**

Pamiętam czasy młodości mojej chmurnej i durnej, szkolenia prowadzone starą, dobrą metodą lektury „Notatnika prelegenta". Byłem dziś na imprezie, która może drętwą nosi nazwę, ale treści niesie żywe i wcale niedrętwe. Zakończenie roku szkoleniowego, podsumowanie pracy w dziedzinie wychowania ideowo-politycznego i kulturalnego w ZMS-owskich WSA — Wieczorowych Szkołach Aktywu. Znam te szkolenia, znam te dyskusje, w niczym nie przypominają one moich niedobrych doświadczeń z dukającym prelegentem. Słuchaczy WSA liczy się już teraz tysiące — samych szkół jest w Łodzi ponad 80. Oczywiście nie wierzę w ludzi-omnibusy, w drugiej połowie XX wieku nie można znać się na wszystkim. Ale właśnie w terenowych kołach ZMS pisarz, dziennikarz, konstatuje, że ci młodzi posiedli umiejętność kulturalnej dyskusji, że choć nie znają się równocześnie na literaturze, polityce, cybernetyce, ekonomii — to konsekwentnie dążą do wyższych regionów kultury, że umieją pytać i słuchać, że interesują się przecież tą literaturą, polityką, cybernetyką, ekonomią... Nie chciałbym, aby powyższe przyjęte zostało jak laurka — laurki przecież upiększają. To tylko refleksja słuchacza szkoleń anno 1962.

**ŚRODA**

Nie jestem specjalnie skłonny do wzruszeń, zwłaszcza do wzruszeń nad słowem pisanym. Kiedy samemu się pisze, zna się mechanikę wywoływania wzruszenia u czytelnika i to, niestety, zobojętnia. Który to już raz wzruszył mnie felieton Hendryka z „Głosu Robotniczego"? Niektórzy twierdzą, że to sentymentalna felietonistyka. Możliwe, ale nie to jest najważniejsze. Te kartki „Ze środy na piątek" mają jakąś ogromną wartość dydaktyczną. Pamiętam felieton o potrawach łóczkich robotników z lat trzydziestych — o kaszance, zalewajce i chlebie zamykanym na klucz w kredensie. Czytają to dziś — często narzekający — których żony kupują w „delikatesach" szynkową i parówki, konsumujący dziś narodową potrawę schabo-szczaka z kapustą... Czytałem felieton o koloniach letnich, o tym, że w 1934 roku z Łodzi wyjechało na wieś... 1.416 dzieci. A dziś — ponad 70.000. Nie wstydzę się tego wzruszenia nad historią bezrobotnego, któremu dzieciak z półkolonii oddał swoją kromkę chleba. Chciałbym, abyśmy częściej i łatwiej wzruszali się takimi wspomnieniami. A nie na najgłupszych filmach.

**CZWARTEK**

Zabrakło kwiatów w Łodzi. Wykupiono goździki, te białe, różowe i czerwone, wykupiono róże... 16.5 tysiąca czternastolatków ukończyło dziś swój pierwszy życiowy etap. Ci ludzie, którzy szli dzisiaj ulicami Łodzi z naręczami barwnych kwiatów — to nauczyciele. Ludzie na których młodzież tradycyjnie narzeka, którym tradycyjnie przypina przezwiska, których w końcu obdarowuje kwiatami. Zabrakło kwiatów w Łodzi i brak ten wzrusza jak żadne z dotychczasowych gapiostw naszego handlu. 16,5 tysiąca czternastolatków znalazło się na półmetku. „Szkoło, szkoło, gdy cię wspominam oczy mam pełne łez..." — jeszcze jeden rocznik przekroczył linię za którą zaczyna się rozumieć sentymentalne westchnienie poety.

**PIĄTEK**

Blacha wędruje pod strzechy. Pamiętam jaki szok wywołały parę lat temu kompozycje z blachy (puszki po konserwach, stare sprężyny itp.), wystawione przez Krystyna Zielińskiego. Dziś, kropka w kropkę takie same (w pomyśle nie w wykonaniu) widziałem na wystawie prac uczniów Liceum Sztuk Plastycznych. W siedmiu dużych pokojach i w ogromnej sali gimnastycznej — setki rysunków, akwarel, rzeźb, plakatów... Spotykam nazwiska, które może i warto zanotować bo to i grafika ciekawa i ex libris oryginalny — ale nie chcę zapeszać. Liceum zresztą nie kształci artystów choć na pewno nazwiska wielu dzisiejszych uczniów przyjdzie mi odnotować w tej rubryce za lat kilkanaście, kiedy wystąpią oni z własnymi ekspozycjami w BWA. Mam czas — poczekam.

**SOBOTA**

Tego jeszcze nie było. W Polsce oczywiście, bo na przykład w Meksyku malarstwo ścienne ma bogatą tradycję. Stoi przy placu Niepodległości ogromny gmach „Motozbytu". Gmach ma wielką ślepą ścianę, a ponieważ stoi na filarach, ściana przypomina nieco stalugi. Niestety — stalugi z czystym płótnem. Kiedy poszerzona zostanie Pabianicka gładka ściana Motozbytu odsłoni się i będzie wizytówką miasta dla wjeżdżających od strony Pabianic samochodów. W czym rzecz? W tym, żeby urządzić w Łodzi konkurs na projekt owej wizytówki. Żeby na ogromnej płaszczyźnie powstało jedyne w Polsce malarstwo ścienne. Przeszkód oczywiście jest sporo. Są to trudności kompetencyjno-prestiżowe — autorami budynku są architekci z Krakowa mający własne plany dekoracji ściany. Ale — jak słyszę — ich projekt nie przeszedł i gładka powierzchnia Motozbytu czeka... Więc?

**NIEDZIELA**

A więc Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu mamy już z głowy. Oczywiście teraz się zacznie lawina publikacji. Tak to jest w naszym światku, że kto nie śpiewa, nie komponuje i nie pisze tekstów piosenek bywa z reguły znawcą. Publikacji więc będzie sporo. Póki co podaję że w ciągu pięciu dni odśpiewano solowo i kolektywnie pół tysiąca piosenek, że uczestników było 350 — kilkakrotnie więcej niż podałem parę tygodni temu zawierzając biuletynowi Komitetu Festiwalowego. W ogóle nie można wierzyć zbyt pochopnie. Środowisko studenckie pewnego miasta reprezentuje w Opolu piosenkarka, która jak dotychczas nie miała szczęścia być studentką.

Jerzy Wilmański

Lubomir Vaculik

# WEZWANIE

Otrzymałem wezwanie. Stawiłem się w oznaczonym dniu o oznaczonej godzinie, ponieważ nigdzie w piśmie nie było przypisku, że będę doprowadzony, jeżeli się nie stawię.

Urząd Pośmiertnych Perspektyw (UPP) mieścił się w nowoczesnym, wykładanym kafelkami budynku. Nie wiedziałem nawet do tej pory, że mamy w mieście tak wspaniały urząd. Przedłożyli mi jakiś długi spis i powiedzieli po prostu: „Wybierz sobie".

Spis liczył co najmniej sześćset pozycji. Zacząłem czytać, żeby wybrać sobie coś odpowiedniego i jednocześnie przestałem się orientować, po co mnie wezwano. O nic przecież nie prosiłem. Połapałem się jednak, że jestem przedmiotem jednej więcej troski naszego miasta o szczęście swoich obywateli. Powiedzieli z dyskretną miną: „Wybierz sobie". Obaj urzędnicy udawali przy tym, że nie patrzą na mnie; coś tam do siebie tylko szeptali i od czasu do czasu zerkali, czy już przeczytałem.

Dopiero przy pięćdziesiątej linijce wpadłem na to, że mam przed sobą zwyczajny spis chorób, jaki miewają lekarze, albo członkowie komisji zdrowia. Chciałem zaprotestować, przecież nie będę dobrowolnie wybierał sobie choroby, jestem jako tako przy dobrym zdrowiu i zupełnie nie mam zamiaru zasłabnąć. Trochę ich to rozgniewało, chociaż właściwie nie odezwałem się ani słowem. Można było poznać po nich, że ich uraziłem, czy też że chciałem urazić. Oni tu są przecież po to, aby świadczyć ludziom dobro, ludzie jednak — w tym przypadku ja — w ogóle nie rozumieją tego i utrudniają im pracę bezsensownymi myślami.

„Nie chodzi także o chęć zasłabnięcia. Ani o nic takiego krótkotrwałego, jednodniowego — jak to macie na myśli, o żaden lekki stan, zwolnienie z pracy lub coś w tym rodzaju" — odezwał się wreszcie ten młodszy, który czuł się widocznie mniej dotknięty. „Macie sobie wybrać chorobę" — rzekł jakby ciągnął pogawędkę. Zauważyłem, że mówi do mnie „wy". To nie był dobry znak, widocznie przekroczyłem jakąś granicę, poza którą ludzie — z ofiarnych i serdecznych — robią się opryskliwi i surowi.

„Macie sobie wybrać chorobę" — powtórzył z naciskiem ten młodszy — „za pośrednictwem której chcecie opuścić ten świat".

Dobra, pomyślałem, to nie jest całkiem takie głupie. Pozwalają na wybór w sprawach, w których nie było zwyczaju wybierać. Nie jest to, oczywiście, względem wszystkich ludzi sprawiedliwe, chociaż nasze urzędy w widoczny sposób starają się być jak najbardziej sprawiedliwe. Ten obywatel, który się nie zna na chorobach, albo nie czytuje statystyki śmierci, nie może tak szybko rozeznać się i zdecydować, która choroba najbardziej by mu odpowiadała. Podczas, gdy rozważałem to starannie, zamiast studiować spis, wyrwało mi się zupełnie mimowolnie: „Czybym nie mógł w domu się nad tym zastanowić?"

„Przebiegłość to najobrzydliwsza cecha ludzka, jaką znam. Powinniście być pozbawieni prawa wyboru" — powiedział surowo starszy mężczyzna. — „Na szczęście chodzi przy dzisiejszym wyborze o ludzi — jakby nie było — stosunkowo zasłużonych czy też..." — nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa.

„Zdolnych" — podpowiedział ten młodszy.

„No tak — powiedzmy — zdolnych nie będziemy zatem wyciągać zwykłych konsekwencji" — dokończył starszy mężczyzna. I spojrzał gdzieś w okno. Był coraz bardziej niecierpliwy; uświadomiłem sobie, że zaczynam go coraz więcej drażnić.

„Nuże!" — odezwał się młodszy. Uśmiechnął się zachęcająco i dał mi znak oczami, że to nic, że kierownik jest, owszem surowym człowiekiem, skądinąd to jednak całkiem znośny chłop. Cóż robić! Życie trzeba brać takim, jakim jest.

Zacząłem z wysiłkiem przypominać sobie choroby, na które umiera najmniejszy procent ludzi. Ale w żaden sposób nie mogłem sobie tego uzmysłowić. Przychodziły mi do głowy same banalne przypadki. Z raka — czym prędzej zrezygnowałem. Lepsza wydała mi się już tuberculosa — tylko 3 procent ludzi chorych na gruźlicę skazanych jest na śmierć. Ale ryzyko i tak wydało mi się zbyt duże. Nagle przyszedł mi na myśl wspaniały pomysł. „Czy zwichnięty palec to także choroba?" — zapytałem, gotów na wszelki wypadek roześmiać się, jakby to miał być tylko dowcip.

„Oczywiście. Nieuważnie czytaliście spis, skoro stawiacie tak niezręczne pytanie" — mruknął gniewnie starszy mężczyzna.

Nie wiedziałem w ogóle czy ludzie umierają z powodu wywichnięcia palca. Ale przypomniało mi się, że kiedyś, będąc chłopcem, o mało nie zemdlałem, gdy mi się to przydarzyło — i jak mnie to bolało.

„Czy nie zdaje się wam, że zatrzymujecie petentów, którzy niecierpliwią się w poczekalni?" — powiedział stary człowiek, patrząc wciąż w okno. — „Nie lubię niezdecydowanych ludzi" — zwrócił się do młodszego.

Młodszy skinął głową i rzucił na mnie okiem. Jego wygląd już nie wyrażał tak otwartej sympatii. Zawiodłem więc i jego? Czego się po mnie spodziewali? Nie mogli przecież liczyć się z tym, że wymienię bez zastanowienia nazwę jakiejś choroby, gdy idzie o życie, o życie — o ży..., gdy idzie o rzecz tak ważną dla człowieka.

Ktoś uchylił drzwi i zajrzał do środka. Stary mężczyzna zawołał ze złością — „Człowieku, nie przeszkadzaj! Tutaj towarzysz musi powziąć odpowiedzialną decyzję!"

Głowa w drzwiach zniknęła, jak ucięta. Było mi wstyd, że musiał mnie wziąć w obronę człowiek, którego w tym, tak krótkim czasie, zdążyłem tyle razy zawieść i urazić. Więc wykrztusiłem: „Nagniotek!" I poczułem ogromne zadowolenie. Nie słyszałem o żadnym wypadku śmierci z powodu nagniotka.

„Wiedziałem" — powiedział drwiąco starszy.

Miałem nieprzyjemne uczucie, że oszukałem tego człowieka. Chciałem to wycofać, ale młodszy już wpisał do mojej karty, stało się. Starszy odwrócił się do mnie ostentacyjnie plecami. Byłem załatwiony. Młodszy był blady, kiedy mnie odprowadzał do drzwi. Podał mi rękę i powiedział serdecznie: — „Żegnaj drogi, drogi towarzyszu". Tuż przy drzwiach szepnął mi do ucha: — „Uświadomiliście sobie w ogóle JAKI nagniotek będziecie musieli mieć, aby był śmiertelny?!"

Ręka dosłownie wypadła mi z jego dłoni. Wytoczyłem się za próg. Przede mną biegła ulica pusta, niekończąca się, co drugi dom miał piękny fronton, a w nim wejście do salonu pedicure. Poczułem coś bardzo małego, niemiłego, coś właściwie nieokreślonego w zgięciu małego palca lewej nogi.

Z czeskiego tłum. L. S.

Przeczytaj w pociągu Przeczytaj w tramwaju Przeczytaj u dentysty

# SULEJÓW

**ODJAZD:** Autobusem PKS z dworca Fabrycznego. Godz. 5.10, 6.00, 6.30, 8.30. Bilet do Sulejowa kosztuje 32 zł 40 gr. Kasy „Orbisu" sprzedają bilety już na 7 dni przed wyjazdem.

**CO OBEJRZEĆ:** Klasztor i kościół zakonu Cystersów, zbudowane w XIII wieku. Muzeum krajoznawcze mieszczące się w zespole budynków opactwa. Z Sulejowa pochodzi Lucjan Rudnicki, który opisał to miasteczko w książce „Stare i nowe".

**GDZIE ZJEŚĆ:** Restauracja „Polana" nad Pilicą przy stacji kolejki wąskotorowej.

**PAMIĄTKI:** W Muzeum Krajoznawczym — Podklasztorze, tel. 58.

**HISTORIA:** Położony u przeprawy przez Pilicę, przy szlaku handlowym ze Śląska na Ruś, był pierwotnie komorą celną, obok której z czasem rozwinęło się osiedle targowe. W r. 1176 Kazimierz Sprawiedliwy wznosi tu kościół i klasztor, nadając je wraz z przyległymi terenami zakonowi Cystersów. Prawa miejskie otrzymał w XIII wieku. W sulejowskim klasztorze bywał Władysław Jagiełło, a w czasie najazdu szwedzkiego tu ukrywał się król Jan Kazimierz. Dziś Sulejów liczy około 5 tys. mieszkańców.

*Rys. Wacław Kondek.*

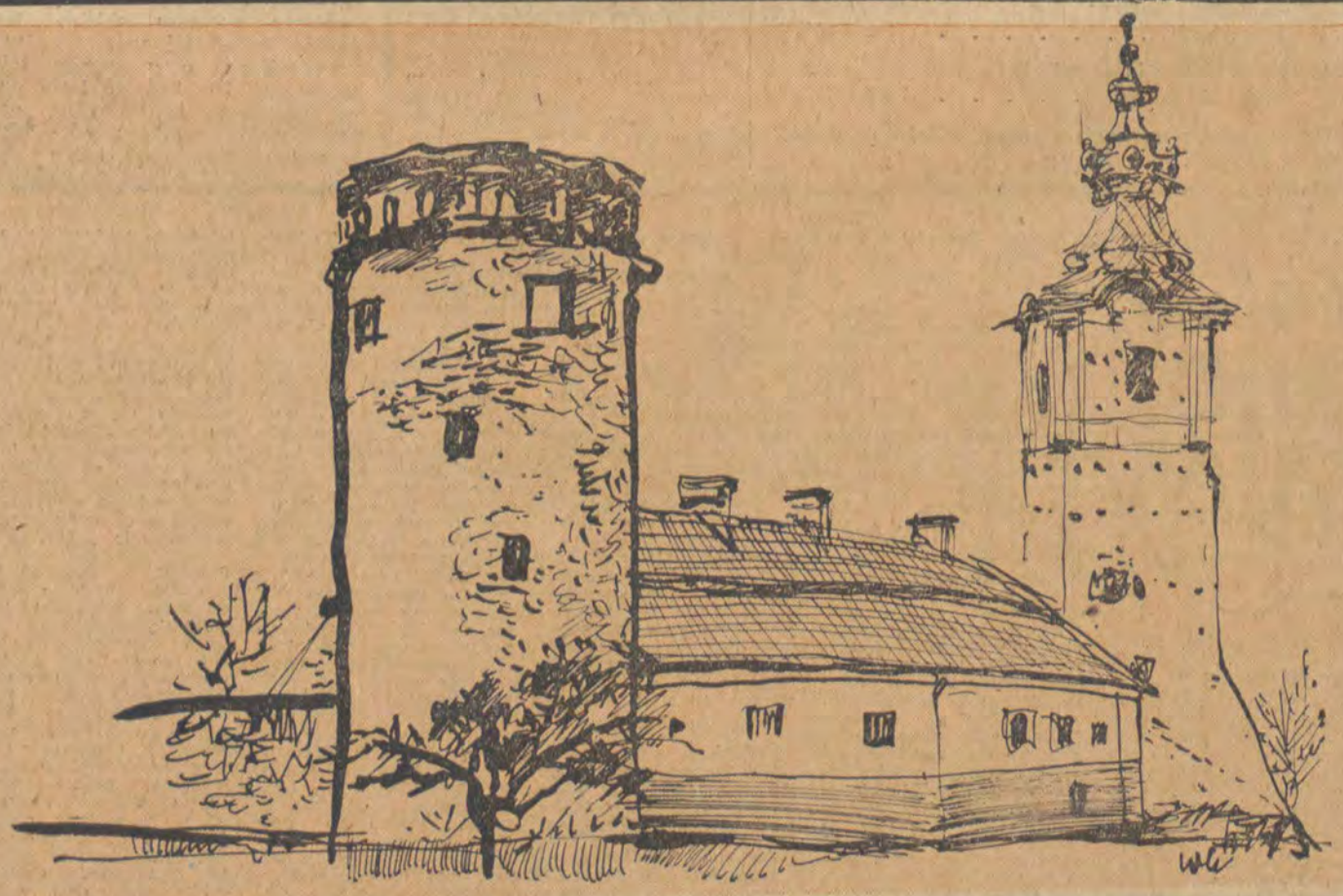

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich Wanda Karczewska, Tadeusz Papier, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź Żwirki 17. Zam. 2043. VI. 64. F-13